



Maria-Jehanne Walewska

# Faunessy

**Maria-Jehanne Walewska**  
**Hrabina Wielopolska**

**Faunessy**  
Powieść dzisiejsza

.....

**Fundacja FESTINA LENTE**

*Posązkowi z nera in bianco.*

*...leurs corps lumineux, frémissant de dentelles –  
Et leurs doigts fuselés, que chargeaient les anneaux –  
Et le charme effacé de leurs grâces mortelles...*

(Henry Potez, *Sonnets de Bruges*)

## WSTĘP

### DLA EWENTUALNEGO CZYTELNIKA MEGO

*Roztrzepaniec pisze dla niewiadomego celu, pedant –  
aby kogoś nudzić, zarozumialec – dla miłości własnej,  
człowiek uprzejmy – aby kogoś zabawić, filozof – aby  
kształcić, literat – aby żyć, ja zaś – aby mnie czytano.*

(François-Antoine Chevrier)

O Nieśmiertelności nie marzę, bo a nuż Nieśmiertelność  
jest tak brzydka, jak nieśmiertelniki?!

O Sławie nie marzę, bo cóż jest sława dzisiaj, kiedy  
regulatorami jej wzlotów i opadów jest kinematograf i  
gramofon?!

O pochwałach nie marzę, bo przekonałam się, że  
największa część ludzi składa się z takich, przy których  
chwalić można tylko Szeyvid-Alego, sułtana Zanzibaru.

Ojczyźnie zapewne się nie przysłużę – ale wszakże Tassoni już rzekł, że gęsi uratowały Kapitol, lecz żaden literat nigdy jeszcze nic dobrego swej ojczyźnie nie uczynił.

Jestem zresztą jak ów kompas, który wszystkie możliwe kierunki pokazuje, z wyjątkiem północy.

Stosunkowo niewielu jest ludzi wstydzących się zebrać, ale jeszcze mniej jest literatów wstydzących się pisać. Może równie łaskaw jesteś, Czytelniku, dla tych ostatnich, jak łaskaw jesteś dla tych pierwszych. Toteż czekam pogodnie na wyrok Twój, gdy skończysz książkę niniejszą, bo wedle słusznej obserwacji Ungera: *die Vorrede besorgt den Autor, die Nachrede aber das Pubtikum.*

I w tym pech!!! Bo wyszłabym może lepiej, gdyby było odwrotnie, zwłaszcza jeśli pan Prokurator przemówi jako... *Nachrede.*

*AUTORKA*

I.

## RONDELE O TYM, CO MA PRZYJŚĆ

*Miłość winna być udziałem jedynie dusz subtelnych.  
Kiedy widzę ludzi ordynarnych, zabierających się do  
miłości – mam ochotę zawołać:  
do czego się wtrącacie?!*

(Chamfort)

I.

## RONDELE O TYM, CO MA PRZYJŚĆ

*...Rien ne mène à l'amour. C'est lui qui Se jette à  
travers de vôtre route.*

(Colette Willy)

Beatryx słuchała mnie, owinięta w sztywne weneckie koronki, zdarte widocznie z jakiegoś antepedium, bo wił się na nich napis u dołu: *a la beatissima Vergine di Candia*. Sama też siedziała sztywnie, hieratyczna i surowa pod czarną opaską brwi, niczym nie objawiając, że słyszy. Miałam wrażenie, że gdzieś, w jakiejś egzotycznej kaplicy przemawiam do jakiegoś egzotycznego, milczącego bóstwa, którego ani boli, ani cieszy to, o czym mu baję – i dlatego może mówiłam tak szczerze. Czasami wyciągała się jej klasyczna, upierścieniona ręka po filiżankę, herbaty – usta jej maczały się w jasny płyn – czarno-złote oczy czytały

coś na dnie filiżanki, cienkiej jak papier – może imię cesarza Khang-si, który się kochał w portugalskiej dziewczynie?... Może subtelną maksymę: *Nie dla tych, którzy są, ale dla przyjaciół, którzy przyjdą?* – i pytała grzecznie i obojętnie:

– Cóż dalej, Lyonne?

Wówczas zatrzymywałam się, spłoszona. Nie umiałam spowiadać się żyjącym. Gdy jednak klasyczna, upierścieniona ręka stawiała na powrót filiżankę na stół i zastygała na poręczy fotela – wprost niematerialna – mówiłam dalej lub myślałam dalej, nie bojąc się długich minut zupełnej ciszy.

\* \* \*

Jej lub myślom swoim mówiłam, że historia kobiety rozpoczyna się wtedy dopiero, kiedy położy serce, naprawdę serce, chociażby przelotnie, na dłoni męskiej. Wszystko jedno, czy dłoń ta pociągnęła ją cienkością skóry, szlachetnością linii, czy też jedynie doskonałym polerunkiem paznokci.

Tylko ten zespół da życiu jej konkretne barwy. Zrozumie już wtedy wszechobecność boską w tej wszechobecności boskich wspomnień i – z oczyma obróconymi na wschód, gdzie słońce wzeszło, będzie mogła dowoli rozkładać swój ołtarzyk połowy i schylać głowę w proch ze wzruszeniem przed słodką – naiwną zawsze – rozzłoconą jego ikoną.

\* \* \*

O wy wszyscy... wy wszyscy...

Kocham was, którzy macie wasze ołtarzyki polowe, jakiegokolwiek by one były... Chyba z wyjątkiem takich, jakie wozila ze sobą stara kwakierka Coulevaina: symboliczny kufer, opięty angielskim pokrowcem, przezornie zaopatrzony w bieliznę, w szczoteczki do zębów, w mydło, w niezawodne purgatif i książkę do nabożeństwa.

O jakże ciebie kocham, Colette Willy. która otwierałaś lamusy swojej miłości prześwietlonej – dziecinną dłonią, a gestem ulicznika naciskając klamki; i ciebie, Clarisso Paul Adama, która kładłaś biodra swoje białe przechodniom pod nogi na drogach rozstajnych – wspaniały ołtarz twoich bioder, twoich chuci przelotnych, twoich kaprysów pożarnych, twoich spazmów ekstatyczny kobierzec; i ciebie, Francis de Miomandre, który swoje ołtarzyki z piany wodnej na wodzie rozkładałeś, na piasku lotnym, ciągnąc sznurki Pierre Ponsów; i ciebie, Rémy de Gourmont, przed chmurnym ołtarzem zadumy swojej – o wy wszyscy... wy wszyscy...

\* \* \*

Ja za Kreczmerem powtarzać mogłam:

*...Hej! Tylko moja dziewczęca wiosna*

*Taka smutna, taka żałosna...*

Odgrodziły mnie od życia maski, które natroczyłam sobie u pasa – śmieszne maski i na cokolwiek

patrzyłam, widziałam groteskową ich linię, zasłaniającą świat.

Głowa rzeźbiarza jednego czepiła się pamięci mojej nieoderwalnymi kleszczami.

Mówiono o nim ongiś, że kazał mi mokrą glinę całować, aby wedle odcisku moich ust rzeźbić usta swoim madonnom.

Raz atoli w inny sposób targnął się na usta moje, gdy w balowej sukni mnie zastał niespodzianie i objawiło mu się ciało kobiece, rzeczywiście śliczne, o które przecież co dzień się ocierał, nic o nim nie wiedząc. Chwyciłam go wówczas za ręce moimi cienkimi, sprężystymi rękoma i jęłam go cofać w tył, ku szklanym drzwiom przedpokoju, bez rozmachu; z obojętną flegmą rozbijając meble. A wzdłuż drogi miałam ciągle przed sobą jego twarz, pełną pożądania i upokorzenia, i cwikier skrzywiony, który mu spadł aż na koniec nosa, tak że patrzył ponad szkła z nieopisanym komizmem.

Ile razy później pomyślałam, że mógłby mnie jakiś mężczyzna wziąć w ramiona i że miałabym nad sobą jego twarz – przypominała mi się tamta maska groteskowa i... śmiałam się moim cichym śmiechem samotnych ludzi.

\* \* \*

Były i inne maski.

Raz powoziłam młodymi końmi w lesie głębokim, prawie że dziewiczym. Obok mnie śledził każdy mój



ruch właściciel tych koni i tego lasu. Czułam, że czyha na mnie, że nerwy jego rozprzegają się pod wpływem mojej bliskości i mego lekceważącego chłodu. W takich chwilach, dziwna rzecz, obudzała się we mnie momentalnie ta drapieżna, bezwzględna samozachowawczość pajęczycy, która śmiercią każe atak samca.

Lecz czekałam zimna zawsze i obojętna, on zaś, aby grę pokryć, rzekł raptem:

– Niech pani nie dotknie przypadkiem batem lewego, bo on z miejsca w bok skacze.

– Od czegoż lejce?! – zaśmiałam się i jechaliśmy dalej wśród żaru płynącego z nieba.

A płynął on, pamiętam, jakby wąskim tylko korytem alei, bo od lasu, po obu bokach, szedł chłód prawie że piwniczny.

Jak w dżungli wyczuwałam bliskość dzikiego, niebezpiecznego zwierza, chwytalam gamę jego przyspieszonego oddechu i rachowałam sekundy, oddzielające mnie od jego ataku.

Szła znowu na mnie ŻĄDZA, ta wiekuista, dręczycielska towarzyszka kobiet opuszczonych i „bezpańskich”. Żądza samca, ta ciągle żerująca na stokach naszych ciał, ta czujna pułapka naszych omdleń duchowych lub też naszych chwilowych zachcianek.

A w ślad niej powstawała z zatraconych pierwiastków krwiożerczość samicy, taka chęć śmiertcionośna, dziś pokrywana jeno ironicznym uśmiechem lub zdawkową impertynencją.

Zauważyłam dawno w sobie to okrucieństwo,  
tamowane jedynie prawem wieku bieżącego.

Raz w którymś z niemieckich miast szedł krok w  
krok za mną elegancki pan, powtarzając słodko:

– ...*gestatten Sie Fräulein... erlauben Sie Fräulein*

...

Udałam, że nie rozumiem intencji i z największą  
ostentacją, otworzywszy pulares, podałam mu w tył  
poza siebie 10 fenigów.

Kiedy mnie drugi aż do hotelu odprowadzał,  
powtarzając szwankującą francuszczyzną:

– *Soyez chentille, madame... ch'ai une chambre...  
che demeure tout pres dans une si cholie chambre...*

– *Tiens?! –* odpowiedziałam z flegmą – *et moi j'ai  
cru que dans une étable...*

Ta niewinna chęć poniżania i obrażania graniczy  
jednak bardzo blisko z naciśnięciem cyngla u  
rewolweru. Blżej niżby się to panom psychologom  
zdawało.

\* \* \*

Dziwna rzecz, jak się ludzkość rozbiegła w dwóch  
płciach swoich. Jedna wysubtelniła się w mig, oczyściła  
w mig skórę z owłosienia, w mig przekształciła się w  
strunę wielogłosową, chłonącą dźwięk i ton, druga zaś  
pozostała nieruchomo przy praźródle swoim  
zwierzęcym. W miłości, gdzie człowiek jest najbardziej  
sobą, mężczyzna staje zawsze na stanowisku drapieźcy,  
zdobywającego siłą to, co upatrzy. Zwierzęcości jest

duzo w miłości kobiecej, ale stworzył tę zwierzęcość męczyzna, ponieważ rysem charakterystycznym kobiecej miłości jest poddaństwo, a on, wykorzystując to poddaństwo, nie próbował nigdy uczynić z kobiety *kapłanki* stosunków ich wzajemnych, ale wyszkalął ją od wieków na *ofiare*, której ukradkiem zdobywa się pierwsze spojrzenie, potem gwałtem fizycznym – pierwszy pocałunek, a potem presją moralną – oddanie całkowite. Tak trwało wieki i do dziś nie ma kobiet *oddających się*, są tylko kobiety *gwałcone*.

Te białe dziewczyny, idące w białych welonach od ołtarza pod dach wybranego człowieka – żadna z nich nie oddała się świadomie, każda została zgwałcona w mniej lub więcej brutalny sposób.

Sakrament... pozory długich konkurów, legalnych czy nielegalnych... to wszystko pozory, bo koniec końców kobieta jest zawsze zgwałcona przez męczyznę, do czego przygotowywały ją: tradycja i on sam, pierwszy zdobywca (Bernard Shaw może dowodzić, co chce).

Ta nieszczerłość sytuacji fizjologicznych wytworzyła nieszczerłość w ogóle między obu płciami, a że kobieta była i jest sprytniejsza – lizka swojska – więc okłamała lepiej męczyznę i okłamuje go do dziś.

Jakże śmieje się jej dusza, gdy ciało swemu każe się wic w objęciach męczyzny, aby podsyciwszy tym jego miłość własną, samczą, zdobyć dla siebie quantum rozkoszy – przy końcu – największe, lub też jedynie, aby go utrzymać przy sobie dowodem, że jest jej ciało tak samo niezbędny jak duszy!!!

A on, Zdobywca, myśli, że ona istotnie wiała się od początku w jego gruboskórnych ramionach, i mówi z pychą, tą, która tak hilarycznie usposabia kobietę: m y w a m d a j e m y j a k o ś c i o w o i i l o ś c i o w o s t o k r o ć w i ę k s z ą r o z k o s z n i ż w y n a m.

Śmieszny jest w tym przeświadczeniu, ale ani zwierzę, ani mężczyzna nie mają zmysłu śmieszności.

Mówiliśmy o tym raz, a gdy obruszyła się mała Yves na nieobyczajność naszych wyrażen, rzekła pani El spokojnie:

– Nieobyczajność, moje dziecko, to rzecz tak względna, że równej jej nie ma na świecie. Oto na Wschodzie ukazywanie twarzy jest uważane za największą nieobyczajność, a w Hiszpanii, w XVI i XVII wieku, najnieprzyzwoitszym było pokazywanie... nogi. Możeś słyszała, mała Purytanko, że gdy jedna delegacja przyniosła narzeczonej Filipa IV artystycznie tkane pończochy, mistrz ceremonii odrzucił je oburzony, mówiąc: *Królowe hiszpańskie nie mają nóg*. A teraz suknie stają się coraz krótsze, nogi kobiece coraz widoczniejsze, tak, że niebawem staną się widoczne nawet podwiązki.

Beatryx wówczas obudziła się z zadumy swojej i rzekła raptem:

– Widziałam raz pannę młodą, idącą do ślubu. Niosła bukiet biały w rękę, a w tym bukiecie pośrodku, wśród koliska niepokalanie białych kwiatów, tkwił jeden jedyny czerwony lak. Czy możecie sobie wyobrazić coś równie obrażającego poczucie

przyzwoitości, jak ten jeden czerwony kwiat pośród białych kwiatów?!

\* \* \*

Rozmyślałam nad tym wszystkim urywkowo, jadąc wówczas wąwozem płynącego żaru, nagle poczułam obejmujące mnie krzepkie ramiona i usta szukające mojej twarzy.

Nie drgnęłam.

Uśmiechnęłam się tylko potakująco myślom moim i – ile mocy w ręku – palnęłam batem lewego konia.

W jednej chwili harde zwierzę skoczyło w bok, wózek uderzył o pień ze straszną siłą, przechylił się, zakolebał i... gnałam znowu, tym razem sama, bo towarzysz mój został – żyw czy umarły – na pniu.

Jakim cudem to wszystko się stało, tak jak się stało? Nie wiem, ale dojechałam do najbliższej stacji, konie oddałam chłopu jednemu i wsiadłam do wagonu.

W parę lat spotkałam dżentelmena tego na wystawie psów w Monachium. Obojętnie odpowiedziałam na jego ukłon i chciałam go minąć, gdy raptem podszedł do mnie.

Pasowała się w jego twarzy chęć powiedzenia mi czegoś niemiłego, chęć zemsty, chęć zatriumfowania choćby gołosłownego na chwilę, w zamian za tamtą nieudałą sielankę w lesie – jakieś śmieszne zażenowanie, połączone z tajoną złością.

– A tym koniom... pani wie?... Strzeliłem w łeb – rzekł wreszcie tonem druzgocącej agresywności.

– Tak? – odparłam chłodno, patrząc mu w oczy. –  
Bo moim zdaniem komu innemu kula się należała.

I znowu uderzyła mnie groteskowość męskiej  
twarzy, ta śmieszna jej bezsilność, płaski gniew.

\* \* \*

Dajacy rycerze ponoć ucinają głowy nieprzyjaciołom  
pobitym i troczą je u pasa. Otóż ja natroczyłam takie  
maski u pasa i te odgradzały mnie pilnie od innych  
zjawisk, może mniej groteskowych. Stąd połowiczna  
była moja znajomość życia, aż ostatecznie z masek  
tysiąca wyłoniła się jedna, ciekawsza, potem doprawdy  
droga: ON.

\* \* \*

Beatryx wyciągnęła rękę po herbatę, więc umilkłam z  
zalekiem dziecinnym.

Było coś wprost niezrozumiałego, gdy ten posązek  
uczynił jakiś ruch. Jej zaś, przeciwnie, przyszła  
refleksja, że mnie uraża swym milczeniem, więc spytała  
grzecznie a bez presji:

– Tu się zaczyna twoja historia, Lyonne?

Milczałam dalej, zderutowana, patrząc naprzeciw w  
cudną jakąś miniaturę Saara, w tajemniczą damę o  
lokach brązowych, podpiętych dziką różą.

\* \* \*

Pani El mawiała słusznie, że Beatryx przyszła na świat drogą niezwykłą, bezpłciową, taką, jaką się mnożą wodorosty: niematematycznie, bo się mnożą przez dzielenie.

– Znasz, Beatryx, te subtelne koronki na wodach? Płokamie? Albo te szumne a wiotkie pióropusze polizyfonii? One się rozradzają za pomocą rzes...

– Jakie ty masz długie rzesy, Beatryx! – skonstatowała nagle z podziwem pani de la Serre.

D'Espagnac zaś utrzymywał, że ona przyszła na świat w szklanych jakichś retortach.

– Tylko mózg ludzki mógł ją stworzyć – dowodził ekscentrycznie. – Bóg tworzył ponoć z niczego, ale ponieważ z niczego tworzył, ponieważ nie egzystowały wówczas żadne zasady, a więc żadne niepodobieństwo, zatem łatwiejsza była jego czynność wytwórcza niż ludzka, walcząca z tysiącem niepodobieństw.

Genesis powinno było uczyć, że pierwszego dnia Bóg stworzył NIEPODOBIENSTWO, a dopiero potem resztę, mocując się sam ze sobą. Tymczasem Genesis uczy, że Bóg stworzył świat z niczego.

NIEPODOBIENSTWO zostało dla człowieka dopiero stworzone. Zatem mózg ludzki jest bardziej twórczy i on jeden mógł stworzyć Beatryx.

Jakąkolwiek jednak drogą ona przyszła, można powiedzieć o niej to, co Rodin rzekł o antykach greckich: *Rozbijcie je na tysiące kawałków, a otrzymacie tysiące arcydzieł.*

„Arcydzielo” podnosiło czarno-złote oczy i deklamowało cicho i obojętnie, nawiązując tylko pozornie do rozmowy:

– Wierzę w pierwsze wrażenie, bo najmocniejsze i decydujące. Dlatego żyć i umierać można gdziekolwiek bądź – tylko rodzić się trzeba w otoczeniu pięknym, aby pierwsze wejrzenie padło na tło piękne i aby Piękno zostało w duszy po wieki.

Beatryx odpowiadała zawsze tak, pozornie tylko nawiązując swoje myśli do toczącej się rozmowy. Było przez to w jej replikach coś z delfickich wyroczeni, coś, co jej nie naruszało w jej niematerialności, a czyniło mimo to, że nie wydawała się wyrzuconą poza nawias życia codziennego.

Jednakże wrażenie niejasne pozostawało, że ona tylko z wygórowanej, salonowej grzeczności nawiązuje wizje swoje jakieś i myśli do toczącej się rozmowy, że to sztuczne nawiązywanie psuje nawet abstrakcyjność jej refleksji, że więc po prostu krzywdzi siebie i Piękno, otwierając swe maleńkie, czerwone, uprzejme, obojętne usta.

Nawet rzecz tak materialna jak kolekcjonerstwo przepoczwarzała się w niej w coś zagadkowego, niecielesnego, niedającego się pochwycić w ludzki sens. A kolekcjonowała koronki.

Chodziła w tych koronkach, spała w nich, kąpała się w nich ku zdumieniu gawiedzi na plażach. Wprost z łóżka mogła iść na dworski bal, tak bezcenną była jej toaleta nocna.



Włosy miała naturalnie ondulowane, a raczej – nienaturalnie poskręcane w loki. Sypiała jak posążek staroindyjski w klejnotach, więc faktycznie wprost z łóżka mogła iść na dworski bal.

\* \* \*

Nieraz, aby ją ujrzeć taką *en tout cas*, wpadałyśmy do jej willi po północy, dzwoniąc gwałtownie w archaiczne dzwonki sznurowe.

Wychodziła natychmiast do drzwi, jak widmo, bosa, z pierścieniami u nóg, niosąc w obu dłoniach ciężki koronkowy tren nocnej koszuli, całej z *puncto tagliato* lub *alenconów*.

Czarno-złote oczy nie pytały o nic pod czarną przepaską brwi i pod gradem loków *dix-huit-cent-trente*, spadających na szczupłe ramionka. Jedynie uprzejme, obojętne małe usta stawiały okolicznościowe pytanie.

– Nie pytaj! – wołała pani El. – Rozbierz się raz do naga, duszo koronkowa, którą rzeźbił Lucjan Schneeg. Na twojej jedwabnej skórze musiały już koronki wypisać swoje tajemnicze dzieje. Cała w zygzaki musisz być, bo się wpiły w ciebie ptaki i kwiaty koronkowe, dniem i nocą noszone.

Rozbierz się! W tej szarudze czytać będziemy, klęcząco, tragedie żółkłych róż gipiuirowych, dlatego tak szeroko rozdartych, że przebijano je puginałami na wypukłych piersiach dogaress.

Nie wiedziałaś o tym, Beatryx, że zazdrosny o pazia swego bił stary doża puginałem raz po raz w pierś

swojej małżonki, którą tylko te róże gipiurowe osłaniały i tycjanowskie włosy z mosiądzu?!

Myślisz, że te plamy na nich to rdza starości?!

To krew, Beatryx!

Rozbierz się! Daj nam przeczytać wzdłuż bioder swoich poemat tych *chantilly*, który dyktowała Katarzyna de Rohan wstydliwym mniszkom, tych falbanek, które tyle czasu drżały u porcelanowych rączek markiz wyuzdanych – silniej, gdy rączki te obejmowały kryzy na szyjach męskich i gniotły żaboty też koronkowe – męskie kryzy i żaboty też koronkowe bywały...

\* \* \*

Beatryx uśmiechała się grzecznie, zawsze hieratyczna i surowa w swoich koronkach, pod czarną opaską brwi, jej chude ramiączka wszakże nazbyt przypominały grand damy Bayrosa z afiszów Moët-Chandona i jego exlibrisów burżuazji monachijskiej. Dlatego nazywał ją d'Espagnac: *petit Crémant rose* albo *petit ex-libris*.

Pani El powtarzała zaś:

– Przepychu stroju twego zazdrościłaby ci nawet madonna del Sagrario, a twoje czarno-złote, cesarsko-królewskie oczy są tak lojalne w pojęciu państwa austriackiego, że każdy Habsburg powinien cię chcieć mieć u swego boku...

Oczy te miała zmęczone pod opadającymi powiekami. Nie wiadomo, czy je przeciążało bogactwo

rzęś, czy też przerachowała ongiś każdy węzeł w siatkach klockowych i zmordowała tym oczy.

Ona nie tylko może wprost ze snu zbudzona iść na dworski bal, ale i odpowiedzieć w stanie półsennym, z pamięci, ile się mieści oczek na przestrzeni dwudziestu centymetrów *resau* z Bruges, a ile *picots* na czternastu centymetrach *Lille*...

\* \* \*

Kiedyś w nadzwyczajnej godzinie szczerości opowiedziała mi Beatrix, co właściwie było treścią jej życia jedyną.

Oddała się człowiekowi wybranemu spośród tysiąca. Miłość postawili od razu na niebotycznej wyżynie – przez białe anioły strażowanej – oboje wolni wobec prawa – więc tym bardziej zobowiązani strzec czystości swoich uczuć.

Po pierwszych trzech miesiącach rozłąki przymusowej przyjechała do niego stęskniona, szczęśliwa, jak zawsze dumna, że do niego należy i że jest kochaną tak, a nie inaczej – i zatrwożona zawsze myślą, przez niego podsuwaną, że ona miłość ich wspólną więcej kocha niż jego. Prawie że na progu wpadł jej list kobiecy do rąk, list miłosny, rugujący go o możliwie najszybsze powtórne spotkania...

Grom w nią uderzył.

Harda, nieskończenie dumna jej dusza osłupiała pod tym ciosem. Wiekuisty brud męskiego uczucia, którego najbielsze ręce zmyć nie mogą, stanął przed nią

niespodzianie – ale równocześnie stanęła przed nią wiekuista wyrozumiałość kobieca, ta, która stworzyła owe niezwykle stanowisko mężczyźnie, ową bezprzykładną swobodę dla niego w stosunkach płciowych.

Nie mężczyzna stworzył sobie swą pozycję absolutnej, samczej wolności – dała mu ją KOBIETA. Dała mu ją nieśmiertelna dobroć kobieca, nieśmiertelna jej wyrozumiałość, nieśmiertelnie w niej drzemiące pod każdą uczuciową powłoką uczucie macierzyńskie, słodkie, przez palce patrzące.

Więc Beatryx w jednej chwili odczuła chęć przebaczenia jemu, chęć zapomnienia krzywdy wyrządzonej jej i ich, jakoby obustronnie przeczystej miłości.

Drżącymi ustami przyszła tłumaczyć mu krzywdę, którą Miłości ich uczynił. Przycisnął ją do piersi serdecznie i jął mówić z całym tym charakterystycznym, apodyktycznym spokojem męskim, że przelotna znajomość z „wiadomą” panią nie naruszyła w niczym cudu ich miłości, że nie posiadał „jej” ani „jej” nie pieścił, że tylko „ona” pieściła jego; zwyczajny proceder, aby oddać dług naturze ... najpospolitszy higieniczny środek wobec tylomiesięcznej z Beatryx rozłąki...

Poszerzyły się zdumieniem jej oczy.

No i odeszła.

Mogła wyrozumieć chwilowy upadek; nie mogła wyrozumieć żelaznej, męskiej teorii, chociażby uprzywilejowały ją wieki.

– I nigdy się już po tym ciosie podźwignąć nie mogę – zakończyła wówczas Beatrix.

– Dlaczego, dziecko? – spytałam. – Przecież tylko poprzez pryzmat niepokalaności waszych uczuć mogłaś go kochać... Była ci chyba na tyle droga miłość wasza...

– Tak – rzekła ciszej – ale on był mi od niej droższym... jednakże droższym ...

\* \* \*

– Mów mi więc, Lyonne, o *ołtarzykach polowych* swoich – przerwała teraz Beatrix milczenie; pani domu obawiająca się, że się nudzą jej goście.

Odezwanie jej spłoszyło mnie znowu na chwilę, lecz tylko na chwilę.

– Fałszywie je może nazwałam *ołtarzykiem polowym*. Może tak samo mogłam je nazwać *namiotem*, *wigwamem*, *parasolem*, w ogóle mianem dającym posmak czegoś opiekuńczego, zbawczego, bo ja wiem?

Beatrix potrząsała lokami i – w zadumie, w jakiej zwykle przemawiała, pozornie tylko do tematu rozmowy nawiązując – rzekła:

– Najlepiej wychodzi ten, kto zamieszka w pierwszym lepszym domku przydrożnym i nie myśli ani dokąd droga biegnąca popod domek prowadzi, ani kto domek stawiał i dla kogo.

A po chwili zakończyła:

– Mówią, że most jest na to, aby po nim przejść, a nie na to, aby na nim budować. Dlaczego? Praszczury

nasze budowały domki nad wodami, na kołyszących się pomostach z sitowia...

Takim odezwaniem się nie onieśmielała mnie. Jak rzekłam, Beatryx przemawiająca swoim tonem wyroczni, nie zawsze rozumiałym dla prowadzących rozmowę, zwłaszcza jako odsyłacz do poruszanego tematu, nie wychodziła ze swej niematerialności, więc nie czyniła mi wrażenia słuchacza żyjącego. Spokojnie tedy mówiłam dalej:

– Tylko kupcy bławatni, przemysłowcy naftowi i szefowie bankowych firm żyją przyszłością. Dla człowieka kultury jest tylko to pięknym i ważnym, co sam dotknął, o co sam się otarł, więc przeszłość, o którą się otarł i w której wyłobił zygzak fantastyczny swego bytu. Mojej historii chcesz? Ach tak! Właściwie jej nie ma jeszcze. Dopiero coś idzie, ociągając się, tajemniczo, gdzieś z bardzo daleka, gdzieś jakimś rykoszetem nieobliczonym.

\* \* \*

Akompaniowałam raz – dawno – skrzypkowi jednemu w salonie nabitym gośćmi. Czułam, że za plecami moimi ciągle ktoś nowy wchodzi, wita się, siada, ale nie interesowałam się tym: ja. Interesowała się jedynie moja skóra. Dziwnie niepołączona jest moja skóra ze mną, nie przylega do mnie. Na co reaguje ona gwałtownie, ja wzruszam obojętnie ramionami. Przeciwnie zaś, na co dygocze moja dusza, ona nie reaguje.

Graliśmy długo, dość słuchani, bo skrzypek miał firmę, ja zaś miałam tytuł. Gdy opuściłam ręce z klawiatury po zawilej balladzie Sindinga, przedstawiono mi jakiegoś młodego człowieka o wybitnie matowej cerze. Powiedział coś szablonowego, odpowiedziałam i ja jakimś szablonem i usiedliśmy do herbaty.

Byłam jeszcze pełna muzyki, więc milczałam wbrew zwyczajowi, chłodno i krótko replikując na konwersacyjne zaczepki. Ale że stanowiłam jedyny element arystokratyczny w tym plutokratycznym salonie, więc wiedziałam, że mimo chwilowej szarości mojej sylwety, mimo mocno nietwarzowej sukni, stanowię punkt ciężkości zebrania. To mojej próżności wystarczało.

Co chwila zwracał się ktoś do mnie z banalnym frazesem, na co odpowiadałam równie banalnie. Młody człowiek o matowej twarzy zabrał głos dopiero wtedy, gdy zaczęto mówić o nowym barze amerykańskim, zajmującym właśnie umysły.

– Była pani w *Crown-Barze*? - spytał.

– Byłam. Nie lubię desensemblu barowego. Podają tam na przykład turecką kawę, na turecki sposób preparowaną, w okropnych secesyjnych filiżankach. Mogliby przecież rzecz utrzymać w stylu i dać albo kopie takich tureckich *finganów* z jaspisu, wykładanych turkusikami, albo chociażby kopie majolik mauretańskich, podanych na emaliowanych *sarfsach*, czy też na srebrnych trójnóżkach.

Młody człowiek o matowej twarzy uśmiechnął się prowokująco:

– Gdybyśmy chcieli, pijąc tutaj turecką kawę, stosować wszystkie tureckie zwyczaje...

– No to nie pijmy tureckiej kawy – odpowiedziałam zimno i bez wyrazu, po czym wstałam, pożegnałam się i wyszłam.

\* \* \*

Pamiętam – śnieg padał, mokry i brudny. Za mną wlokła się nuda, przetykana tylko gdzieniegdzie srebrzystym echem ballady, dopiero co odegranej. Ani jednej twarzy nic przypominałam sobie z całego zebrania. Wiem, że fraki były źle skrojone, panie ubrane nielinijnie, ręce nieutrzymane, niepolerowane paznokcie.

Prawda!... Oprócz tego młodego człowieka o matowej twarzy – no tak... Tyle tylko pamiętałam, że miał twarz o uderzająco matowej karnacji, co było mi zawsze sympatyczne i – polerowane paznokcie, co było mi zawsze obojętne, aż do tej chwili jednakże, kiedy spotykałam człowieka o paznokciach... niepolerowanych.

Wieczorem odjechałam na zachód, z zupełnie pustymi rubrykami, tymi, w które się wpisuje rzeczy ciekawsze z życia, figury ciekawsze. Nie spotkałam nikogo ciekawego.

Dziwiłam się nieraz, że w każdym prawie nekrologu czytamy: *zmarły był jedną z tych rzadkich osobistości...*, a w życiu spotykałam same szablony.



Czyżby trwał wieczysty pomór na osobistości  
rzadkie?!

\* \* \*

W sprawie pobocznej otrzymałam list od tego młodego  
człowieka o matowej twarzy.

Odpisałam – przyszła znowu replika, tym razem  
silniej zabarwiona, cięta, literacka i rozpoczęła się  
korespondencja o *leitmotivach* zrazu nikłych jak  
pajęczyna, bo mówiliśmy o wszystkim, tylko nie o  
sobie, choć zaczęliśmy siebie nawzajem interesować.

– A... aż tak? – rzekła jak przez sen Beatryx.

Drgnęłam i urwałam bajkę moich dni, w których  
nikt od najwcześniejszego mego dzieciństwa bajek mi  
nie opowiadał. Jakaś bezbajkowa wróżka zatrzymała się  
ongiś dłużej nad moją kołyską, tak, że wszystko, co  
przeżyłam dotąd, można było ręką uchwycić,  
spojrzeniem objąć lub nogą podeptać.

Nie było nic z tych nieuchwytnych promieni, które  
wpadając do pokoju naszego, rozpylają czyste złoto w  
oczach naszych, czepiają się naszych rzes, poją nasze  
usta, drobnymi klejnotami okrywają nasze sprzęty. Nic  
się nie obilo o ściany duszy i nic nie plądrowało po jej  
głębiach.

\* \* \*

Ujrzałam raz w witrynie antykwarskiej piękny  
relikwiarz. Weszłam do sklepu zapytać o cenę i

dowiedziałam się, że właśnie przed chwilą atak apoplektyczny zabił właściciela.

Rzeczy nie były już na sprzedaż.

U mnie przeciwnie. Ja żyję, ale w witrynie duszy mojej nie leży nic, nie zatrzymuje nic.

Pusta jest witryna mojej duszy.

\* \* \*

*Nie pamiętam nawet, czy włosy Twoje są jasne – pisał on ostatnio. – Zaledwie sylweta Twoja utkwiała mi w pamięci, bardzo szczupła, z tych, które mężczyźni tak lubią przeginać w swoich brutalnych ramionach, aż się odezwie ostrzegawczy chrzęst kości.*

*W Tobie by nawet kości nie chrzęściły, przegięłabyś się tylko, wdzięczna i smukła, podając usta i cicho szukając rękoma ust tego, który by Cię brał.*

*Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że Twoje ręce muszą dotknąć każdej rzeczy wpierw, nim ją dotkną usta lub oczy. Śni mi się więc, że gdybyś się przegięła w moich ramionach – o sny nie do spełnienia! – to gdybym się nachylał do twarzy Twojej młodej i małej, wyciągnęłabyś najpierw ręce i – delikatnie, palcami, które muszą być cienkie – obwiodłabyś usta moje, aby znać plastycznie ich rysunek, zanim się one oprą o usta Twoje.*

*Czy prawda, Lyonne, że masz ręce czujne, stróżujące nad wszystkim, czego by się oczy Twoje tknąć miały lub dziewczęce usta? Obronne, chybkie ręce, mądrzejsze od ust i oczu, które dziecinne zostały?*

*Mądrość Rąk Twoich nieznanych pozdrawiam i  
Dziecinność Twoich Oczu i Twoich ust, które widziałem,  
nie widząc...*

II.

„WAGGELT DE POP...”

(„Huśtajcie lalkę – okrzyk, używany w Holandii przez muzykantów rozpoczynających grać do tańca – przyp. autorki)

*Cecylii Walewskiej ten rozdział ośmielam się poświęcić.*

II.

„WAGGELT DE POP...”

*Athanaël: là je t'enfermerai dans l'étroite cellule. Mais  
d'abords anéantis, Ce qui fut l'impure Thaïs. Thaïs:  
Père qu'il en soit insi. Je Ne veux rien garder de mon  
passé, rien que cela... Cette image d'ivoir, Cet enfant,  
d'un travail antiqua et merveilleux. C'est Eros! Quand  
Nicias m'aimait, il m'offrit cette image...  
(Thaïs)*

Siedzieliśmy raz u pani de la Serre. Beatryx, w szacie grzechu, bo cała spowita w teatralny płaszcz ze starej klockowej, niderlandzkiej koronki, przedstawiającej Grzech Pierworodny i Wygnanie z raju – wsunęła się w jakiś fantastyczny mebel, którego zarysy ledwo były widoczne. U pani de la Serre bowiem bywały raczej ciemności.

Podnosiła ona swoje pańskie brwi nad oczyma z *terra verte* (z Wau, który żółtą farbę daje) i mówiła:

– Wydaje mi się okropnym, aby taka potęga jak człowiek żadnej roli nie grała w zakresie światła. Boli mnie wprost, że gdy do pokoju jasno oświetlonego lub ciemnego, wchodzi ludzie rzadcy jak pan, panie d’Espagnac, lub ludzie piękni jak ty na przykład, Beatryx, że lampy nie zaczynają świecić jaśniej lub gasnąć.

Dlatego też światła u mnie nie ma stałego, dlatego każdy dostaje w przedpokoju katakumbową lampkę oliwną i każdy z taką lampką zapaloną do mnie wieczór wchodzi, tak że za wejściem człowieka przybiera światło i każdy jego ruch światłem reguluje.

\*\*\*

Może z powodu tych lampek, przypominających zwyczajnie jansenistów w Port-Royal, nazywała ją pani El „Jansenistką” – tym słuszniej, że wywodziła się ona istotnie od rodu słynnej Siostry de la Serre, która jako biała mniszka w Maubuisson tańczyła naga z mnichami z Saint-Martin-de-Pontoise, pijąc wina szumiące w kościelnych kielichach, a która potem orała sobie ciało dyscyplinami, aż do kości, pod wszechwładnym rządem jansenistki Maryi-des-Angcs w Port-Royal.

W pani de la Serre doprawdy było dużo i z tej wyuzdanej kurtyzany, ubranej w habit Maubuissonu i z tej ascetki z Port-Royal. Widać było po niej, że jeżeli się daje komuś, to tak jak się daje zabawkę, z uśmiechem obojętnym i prostotą.

Poza mianem Jansenistki nazywała ją pani El „Mormonką” – niewiadomo dla jakich przyczyn pomawiając panią de la Serre o wyznawanie zasad Brigham Younga. D’Espagnac zaś utrzymywał, że pani de la Serre porusza głową jak tancerze ze słynnego paryskiego balu *OFIAR* z tych czasów terroru i szafu, kiedy Paryż tańczył kankana w salach nowicjatu jezuickiego i w klasztorze Karmelitanek-*du-Marais*. Na balu *OFIAR* pozdrawiano się ruchem głowy kładzionej między dwie fugi, te fugi, co regulują nóż w gilotynie.

\*\*\*

Pani de la Serre podobnym ruchem wznosiła i opuszczała głowę. Po bokach jej owalnej twarzy dzwoniły stare kolczyki z czasów Rewolucji Francuskiej: malutkie dwie gilotyny ze szmaragdu. Na końcu jednej wisiała rubinowa koronowana główka Marii Antoniny, na końcu drugiej – główka Ludwika.

Dziwnie w tym drapieżnym obramowaniu wyglądał stanowczo niejakoibiński owal jej twarzy, lustrzane odbicie księżnej Salm-Auersperg z miniatury Fuegera, tego *Cosvay of Vienna*, który cokolwiek kiedy w oczach modlitewnych wyraził, temu zaprzeczył w ustach, zmiażdżonych profanacyjnymi pocałunkami ladajakich nawet warg. U pani de la Serre usta płonęły więcej niż fuegerowskie, mokre, szczerze wyuzdane, w stosunku do jej mistycznych oczu z *terraverte*, czyniąc plamę wprost denerwującą na jej cerze, o której pani El mówiła, że była z gatunku „ślepych jedwabi”.

Dziecinne ręce składała dziecinnie na kolanach, a tylko na jej usta patrząc, można było nabrać pewności, że ręce te równie nabożnie potrafią przesuwać ziarnka różańcowe jak kartki przewracać zdobione rycinami Fragonarda.

Z bezwzględny spokojem i jedną adoracją przenosiły się jej modlitewne oczy z cudnej świętej Agnes, rzeźbionej w złotożółtym bukszpanie, przez Clauda *St. Rosset*, na stary szyld jednej księgarni paryskiej z końca XVIII wieku, wiszący jako *suppraporte* o groteskowym napisie: *Librairie à Nôtre Dame de la Guillotine*. Jednak patrzący na projekt witrażu, na którym wiło się pokaleczone ciało Lidwiny *de Schiedam* – straszniejsze niż opis Huysmansa – jak na ilustracje Marillego do bajek La Fontaina, na sztychy Lavreincia, na *Posirioni* Caraccia...

\*\*\*

Wszystko to gmatwało się w jej magnackich salonach. Bratały się sprośne estampy, od Basseta z *rue St. Jacques*, ze słodką chorowitą główką jakiejś madonny *col bambino*. Czarny od starości anachoreta patrzył z pode łba na rozebraną *Gimblette* Fragonarda, podrzucając pieska bosymi, nerwowymi nóżkami. Pośmiertna, woskowa maska jakiejś dominikanki gorszyła się dzień i noc kolorowanym szkicem do GRZECHU Stucka, zdobnym w ramy de Bry'ego, a ekstatyczna głowa świętej Teresy rzucała gromy w *La Comparaison* Lavreincia, w której pogodnie odsłaniały

piersi dwie młode markizy, wąż, która ma pierś pełniejszą... Koronowany gryf z perugiańskiego *Palazzo Comunale* pokrzywił się wzgardliwie filigranowym bestiom Jany Poupelet. Żałosne i niewinne pamiątki jedenastoletniej mniszeczki, Heleny Tarabotti, ocierały się o płomienne, miłosne listy Marianny d'Alcoforado.

Z mebli, potraçały się cacka biedermaierowskie, Riesenery o fatalne sprzęty w stylu Louisa Filipa, o jeszcze okropniejsze modernistyle profesora Selcera, Frietschiego, Niedermosera.

Niewysłowionej intensywności akt Viegelanda miażdżył banalność Puecha i Injalberta.

Marmurowy ogromny model katedry z Reis opierał się o wazę Alfa Wallendera, na którym mleczny łabędź obejmował skrzydłami perłową Ledę i z którego wystrzelał pęk sztucznych kwiatów – bo tylko sztuczne, kościelne znajdowały miejsce u pani de la Serre – najrzadsze kolekcje kwiatów, od tych począwszy z perfumowanego papirusu, jakie w XV wieku robiono, aż do najpospolitszych z *salin antieja*, welwetu, atłasu, angielskiej skóry, perkalu i kauczuku.

Nad relikwiarzami Bernharda zwieszał się baldachim, pod którym niesiono ponoć przed laty zambalsamowane zwłoki królowej Isis-em-Kheb wzdłuż Nilu. Cały z kwadratów skór antylopich, farbowanych i łączonych symbolicznie festonami i figurami, stykał się bezpośrednio z gobelinkiem Anny Boberg, z krzyczącą, zuchwałą kakofonią sukiennych paw, mew i tulipanów.

Przedmioty u pani de la Serre były zawsze używane do innych celów niż je natura stworzyła.



I tak w bajkowych kadzielnicach Windsheima trzymała papierosy – szampan mrożono u niej w starochrześcijańskich baptisariach – paznokcie polerowała o wyświechtane aksamity czapraków średniowiecznych – humerałami wycierano u niej trzewiki – staroświeckie czepce służyły jako umbry do lamp – feretrony zasłaniały piece – na zmodernizowanym, bizantyńskim ołtarzu Fassnacha miała gotownię. Stały lustra, lusterka, puszki i pilniki – tak efronteryjnie, że człowiek i ich celowi nie dowierzał, posądzając, że i one służą do innych, pani de la Serre tylko wiadomych celów.

Stare materie w profuzji wały się wszędzie. Deptano po fragmentach syryjskich i sycylijskich materii, po dywanach, piękniejszych, niż te z Hampton Court. Przydymione złoto brokatów, ściemniały połysk jedwabi dawały ton cudny ścianom, ten ton, który już został dziś zabity przez anilinowe farby.

Dziś nie ma już półtonów, półświateł, malarskich niedomówień... Wszystko się śpiewa, wszystko oświecła, wszystko mówi.

Autentyczne kandelabry Meissoniera stały puste, bez świec. Biły zegary Delafossa, i w tym tik-taku skupowanych na obu półkulach zegarów, gwarzyliśmy u pani de la Serre.

(Zegary nakręcała służba – pani de la Serre bowiem twierdziła, że nie ważyłaby się przez nakręcanie ograniczać ich indywidualności).

\*\*\*

Trzy buldogi strażowały przy niej zawsze, w pozach monumentalnych. Jeden z twarzą Verlaine'a, cokolwiek gorzką, drugi – z ponurą twarzą Beethovena, trzeci – z twarzą Humperdincka, pogodną i zadowoloną ze siebie. Nazywała je *en bloc TRICOLORES*, a gdy ją raz zapytałam, dlaczego – wyjęła pikantne dziełko księdza de Voisenon ze starego kredensu i odczytała mi swoim melodyjnym głosem altowym:

*..la reine devint grosse, elle en fut enchantée; elle n'accoucha que d'une fille, elle en fut désespérée. On delibera longtemps pour savoir, comment on nommerait cette petite princesse.*

*La reine alors n'avait que trois amants – dont l'un était brun, l'autre blond, le troisième châtain.*

*Elle donna à sa fille le nom de TRICOLORES, ce qui prouve, que cette majesté avait une grande idée de la justice distributive.*

Otóż widzisz na pamiątkę tych słów niezrównanych dałam moim buldogom, ponumerowawszy je, imię: TRICOLORES.

\*\*\*

Bukszpanowa święta Agnes była barometrem humoru pani de la Serre. Gdy bowiem pragnienie jej jakieś nie zostało spełnione – a o każdą rzecz modliła się do świętej Agnes – odwracała ją twarzą do ściany, co zapowiadało każdemu, że pani de la Serre nie będzie w dobrym humorze.

Dziś stała właśnie figurka nosem do ściany obrócona. Zatrzymała się przed nią pani El.

– Wiesz, Jansenistko, że z pewnością jej przyjemniej w tej pozycji, bo ostatecznie święta dziewica musi się czuć diablo nieswojo, gdy patrzy na twoje Graveloty i Caraccia...

– O nie, ona się już przyzwyczaiła! Zresztą odmawiam co dzień jedną bardzo skuteczną „Modlitwę do 28000 kropel krwi Zbawiciela” za dusze tych, co to wszystko malowali... Chcesz odpis tej modlitwy? Dał mi ją kapelan pewnego klasztoru Niewidomych Panien w Bretanii. Ale czy ja wam opowiadałam kiedy o tym klasztorze Niewidomych Panien?

– Nic. Opowiedz nam to żywo, Mormonko, która mordowałaś dzieci w Mountain Mradows i dziewczynkom gardła roztwierałaś od ucha do ucha bowie knifem...

– *Mano poderosa!* Nigdy nie mordowałam dzieci – odparła nieco urażona pani de la Serre – i żadnym dziewczynkom gardła bowie knifem nie roztwierałam...

– ... acz rada by dusza do raj... – mruknął d’Espagnac.

Zamyśliły się oczy z dzikiej rezedy, ściągnęły się pańskie brwi, a zmysłowe usta zaczęły opowieść wolno:

– Włóczęc się po Bretanii, usłyszałam, że jest w pobliżu klasztor Niewidomych Panien. Zachciało mi się zobaczyć ten dom dziwny, bez okien, bo po cóż okna dla duchów błądzących omackiem? Dom bez obrazów, bez ozdób, bez sprzętów prawie, cichy i zamarty, dyszący tylko modlitwą i zapatrzony oczyma duszy w

abstrakt i nieskończoność. Nagi i pusty kryje oderwaną od ziemi garstkę istot dziwnych, kwintesencję bezcielesności, prawdziwą negację życia ludzkiego, odskocznię tylko, z której runie się w świetlaną przepaść absolutu, ze snu czasowego w sen wiekuisty (*przyp. autorki: Panna Berguino założyła około 1851 roku we Francji klasztor Niewiadomych Sióstr Świętego Pawła, do którego wstępują ociemniałe dziewczęta*).

Poszłam doń tedy z bukietem pachnących silnie kwiatów, mających mi drogą torować poprzez szpaler ślepych zakonnic.

Klasztor stary był, starszy pewnie od Zgromadzenia, smutny, cały cynobrowy i szary. Kaplica była na oścież otwarta, więc wstąpiłam do kaplicy, przed progiem zamykając oczy jakimś ruchem bezwiednym, jakby ogarnięta już atmosferą tego miejsca, gdzie wszyscy mają oczy zamknięte. Po prostu chciałam wyczuć tę atmosferę skórą moją, chciałam wessać się duszą w to niepodobieństwo bezcielesności, skoczyć wprost z mego życia bujnego, dionizyjskiego, w bezkresności.

Z zamkniętymi oczyma posunęłam się parę kroków naprzód i poczułam nagle chłodne, lepkie dotknięcie na twarzy. Cofnęłam głowę w szalonym jakimś przerażeniu i otworzyłam oczy. Muskały mnie właśnie metalowe frędzle chorągwi. Łuna światła, żarząca się w bocznym ołtarzu, ogarnęła mnie. Oślepiła mnie świeża złoconość krzyżów, gzymsów, tabernakli, wiśniowa barwa tanich witraży, przykuły mi wzrok na chwilę oszalałe igrzyska much, bębniących w cynowe lichtarze.

Uczucie zawodu otrzeźwiło mnie natychmiast. Zaczęłam rozglądać się po kaplicy, krytycznie już i raczej źle usposobiona. Z głównego ołtarza olbrzymia święta Łucja podawała parę własnych oczu na srebrnym talerzyku, zaznaczając, że jesteśmy w przybytku ślepych. Jej puste oczodoły patrzyły bezlitośnie w próżnię, denerwujące i upiorowate.

\*\*\*

– *T' t'embêtes, mon fils?* – przerwała niespodzianie pani de la Serre, zwracając się do jednego z psów, który właśnie ziewał.

Buldog z twarzą Verlaine'a podniósł znudzoną mordę, nieokreślonym grymasem dając coś do zrozumienia.

– On się nie nudzi nigdy – rzekł poważnie d'Espagnac – tylko inni go nudzą. Akurat jak księżę de Ligne...

– To dobrze – kiwnęła głową pani de la Serre, rzucając psu kawałek jabłka, bowiem karmiła zawsze owocami swoje buldogi, utrzymując, że to „uczłowiecza” ich intelekt i że dlatego Ewa karmiła jabłkami Adama w raj, co Bóg Ojciec nieopatrznie przerwał.

\*\*\*

Potem rozpoczęła na nowo:

– W bocznej nawie wisiał duży Chrystus, nisko, prawie na ziemi, dobrotliwy i przystępny, wulgarna kopia cudnego padwiańskiego Donatella. Cztery zakonnice klęczały przed nim, z welonami spływającymi jak opar rzeczny wzdłuż ramion.

Wyglądały tajemniczo spowite w tą mgłę – ptaki nocne, błyskające tylko od czasu do czasu białą plamą twarzy i rąk, błędne ogniki, znikome i zwodne. Oczy miały zawarte i milczały nie złożywszy nawet rąk, podobne do *ex-votów* lub do tych figur z prymitywnych płócien, które po bokach madonny klęcząc, przedstawiają „fundatorów” obrazu.

Jedna z nich, po długiej kontemplacji, poruszyła się i wyciągnawszy rękę przed siebie, jęła nią cicho i miłośnie przesuwając po twarzy Chrystusa. I musiały te szczupłe ręce wyczuć coś pięknego, mimo iż Chrystus był brzydki i wulgarny, bo usta zadrgały, palce zaś jęły się zniżać, aż natrafiły na ranę Najświętszego Boku.

Wówczas nachyliła się biała twarz i usta wpiły się w drewnianą ranę, prawie spazmatycznie.

– Rano Najświętszego Boku, wybaw ją! – zaczęły mówić chórem wszystkie, uparcie, tępo, z taką żalną rozpaczą małych dzieci, które proszą o ciastko.

Gdy przestały tłuc głowami o posadzkę, zapytałam pierwszą z brzegu:

– O co się tak modlicie, Siostro?

Nie zdziwiły się. Widocznie dawno wyczuły już moją obecność. Obróciły tylko twarze do mnie, małe, w opłatku kremowym rzeźbione, dziwnie przypominające pyszczki oswojonych łasiczek, węszących niechętnie

zbliżanie się obcego i posunęły się naprzód automatycznie, tak że znowu odskoczyłam, ogarnięta dzieciennym strachem, że i po mojej twarzy zaczną się przesuwając te szczupłe, wilgotne ręce.

– O Siostrę Felicję się modlimy – odparła najstarsza lakonicznie.

– Chora?

– Chora.

I zapadła cisza, lecz nagle, jakby je znowu szła rozpacz ogarnęła, zaczęły mówić wszystkie, pospiesznie, trwożliwie, obłądnie.

Umiera Siostra Felicja, ta jedna, która pośród nich widzi, ta jedna, która wśród wiecznej nocy prowadzi je i trzyma. Nie ma już widzących ani w nowicjacie, ani w wyższych chórach. Noc pozostanie teraz bezkresna.

– Ona jest przełożoną? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała ta, która bok Chrystusowy całowała. – Ja jestem przełożoną.

Zrozumiałam teraz, dlaczego tamte całowały podłogę, a ona jedna bok Chrystusowy.

Tymczasem zbiły się one w gromadkę jak owce. Oczy ich powoli otwierały się, mętne, blade, niewidzące, jakby próbowały, czy której z nich Bóg wzroku nie wrócił, aby mogła poprowadzić Siostry w bezdnie wiekuistej nocy.

Dreszcze jakieś biegały po tych malutkich, kremowych twarzyczkach – mumijki żałosne, zesłe z nieznanymi sarkofagów – i raptem z tych bladych, mętnych oczu jeły płynąć łzy, duże, ciężkie, bezradne, nieskończenie smutne, że z próżni w próżnię się toczą.

Uczucie dobrego, litosnego uniesienia porwało mnie nagle. Doszło mnie wprost plastycznie dotknięcie dziesiątka rąk chudych i wilgotnych, czepiających się mojego płaszcza i moich dłoni, abym drogowskazem była w miejsce tej, która umiera. I odczułam całą znikomość światowości i wielkości, przyszedł mi na myśl ostatni z Borgiaów, który właśnie umarł nędznym fotografem w Londynie i ostatni z Medicich, który jako kościelny dzwoni w brukselskiej katedrze i przyszła mi na myśl bezpożyteczność szarów miłosnych, bezpłodność erotycznych ekstaz – bezjutrowość naszych ukochań – bo powiedzcie, czy miłość nie jest bezpłodną w zasadzie, chociażby narodziny całych pokoleń były jej następstwem?!

\*\*\*

– Myśli pani? – przerwał d’Espagnac, który nigdy nie ominął sposobności, aby o miłości mówić. – Miłości bezpłodnej nie ma. Nie głoszę tego z punktu widzenia ginekologicznego ani nie chcę konkurencji robić pani Luizie Toussaint w jej zakresie. Utrzymuję tylko, że miłość ma za wielki wpływ na twórczość człowieka, na jego intelekt, na kształtowanie się jego historii przez ciąg wieków, aby móc dyskutować o jej bezpłodności, o zgubnym wpływie ostrożności na przykład erotycznej na losy ojczyzny etc. Uczą starzy mantykowie, że zbliżenie się dwojga ludzi jest aktem przemyślanej natury tylko, dążącej do moltiplicacji, a więc, że zbrodnią jest, gdy miłość zadania swego



reprodukcyjnego nie spełni. Ja twierdzę, że miłość zawsze zadanie swoje spełni, że wszystkie szaleństwa miłosne, bezpłodne są płodne znowu w znaczeniu innym, pobudzając dynamikę twórczą, płodząc arcydzieła, kształtując historię... Nic w Naturze nie ginie i w tym leży płodność wszelkich zjaw życiowych wiekuista.

\*\*\*

– Może. Ale wtedy myślałam inaczej, więc zwróciłam się do Sióstr i rzekłam:

– Mam oczy zdrowe i kto wie, czy nie zostałam z wami.

Poruszyły się gwałtownie i wyciągnęły się do mnie cztery pary rąk szczupłych, jak z toni, białe macki, łakome i trwożliwe, które chwilę drgały w powietrzu, szukając moich rąk, wreszcie spoczęły na łokciach moich i powiodły mnie w głąb coraz czarniejszych, coraz ciemniejszych korytarzy.

Było coś niesamowitego w tym, że mnie, widzącą, prowadzą niewidome w jakieś krużganki zawile, gdzie doprawdy oczy już były zbędne, a na końcu których czekała Śmierć przy łóżku Siostry Felicyty.

Zaraz w progu uderzyły mnie jej oczy – istotnie przedziwne oczy, duże, płonące, dumne, namiętne, gorzkie.

Coś chciała powiedzieć, lecz nagle rzuciła się w tył i uparcie trzymając oczy otwarte, skończyła wśród ciszy,

z której zakonnice wyczytały może, co się stało, bo zwróciły się do mnie niespokojnie.

Zaczęły się schodzić inne postacie, wizyjne, w welony spowite, o twarzach umarłych dzieci i zamkniętych powiekach, a wśród nich ja jedna patrzyłam w otwarte oczy Siostry Felicyty, przedziwne, duże, gorzkie, zniewalające natarczywością.

– Patrzy? – spytała cicho jakaś nowicjuszka o ekstatycznej głowie.

– Patrzy – odrzekłam takim głosem, jakim się mówi o cudzie.

– Patrzy, ale już jest jako i my – rzekła raptem przełożona. – Wieczne odpocznienie...

– ... racz jej dać Panie... – buchnęły zakonnice i twarze zwróciły się znowu do mnie, ale podwładne już, pokorne, takie, jakie się musiały zwracać w ślad za Siostrą Felicytą dawniej. Czulo się w tej ciszy dzwoniącej, że pryska czar Siostry Felicyty, a wszystkie zamknięte usta i oczy pytają mnie: Wrócisz?!

– Oczy musisz mieć tak władne, tak cudne, kiedy ci je Bóg zachował – mówiła mi ekstatyczna twarz młodej nowicjuszki.

A tamte oczy patrzyły coraz uporczywsze, coraz namiętniej się domagające, aby przez zastępstwo nie grzebano ich wspomnienia i ich mocy. Pycha rzeźbiła nieskończona jej drobne usta, taka zaciętrzewiona zazdrość o stanowisko jedyne, o trzon tej pochodni, którą wśród nocy niosła, aż sama utonęła w zmroku.

Pojełam, że dla niej przystrajano tu i złocono ołtarze – nie dla bóstwa, ale dla niej – że dla niej

witraże wiśniowe wstawiano, dla niej obrazy rozrzucano i kwiaty. Dla jej oczu jedynych...

Więc nie wróciłam, choć mnie Siostry Niewidome w rozpaczy czekały i choć mnie wówczas ciągnęło nieprzeparcie to życie wśród trumien...

\*\*\*

– Dlaczego nie wróciłaś? – spytała Beatryx słodko, nie rozumiejąc tej zawikłanej filozofii.

Pani de la Serre uczyniła nieokreślony ruch ręką:

– Nie mogłam w drogę wchodzić tamtym oczom...

Poszłam.

Długi moment trwało wśród nas milczenie i każde z nas z pewnością dziwiło się w duchu subtelności motywów u pani de la Serre, której fantazje znaleźliśmy dotychczas jako niezwalczone. Co mogło wpłynąć na nią wówczas, że nie poddała się fantazji, choćby na czas krótki i uległa motywom tak „cienkim”?!

Nagle przerwała ciszę pani El, zapytując ni stąd, ni zowąd:

– A on był blondynem i miał czarne oczy, ten, z którym poszłaś wówczas, Jansenistko?

– Nie! – zachnęła się pani de la Serre. – Jaki blondyn?!

A po chwili dodała marząco i zgoła niespodzianie:

– Ten?... Wówczas?... On miał oczy jasne, a włosy czarne, czarne, ach, jakie czarne...

III.  
LA GAYA SCIENZA

*A mes très chers Amis de Bruxelles:  
C. J. Watelet, le merveilleux artiste –  
Lyonne, la petite déesse incomparable.*

III.  
LA GAYA SCIENZA

*Jak mało potrzeba do szczęścia:  
Tonu kobzy...  
(Nietzsche)*

Właściwie nie pojmuję, jak można jakiegokolwiek subtelniejsze uczucie wyrażać nogami. Gdy przychodzi moment na przykład, że zwykły śmiertelnik załamuje rękę, czyżby Isadora Duncan załamywała nogi?! – Fâhr-el Nissâ rzuciła to pytanie, patrząc z niedającą się opisać pogardą na tańczącą panią de la Serre, potem zwróciła się do brata swego (i narzeczonego zarazem) i dokończyła:

– Pamiętasz tę Indiankę w Kairze? Ta przynajmniej chciała wyrazić tańcem to, co nim absolutnie wyrazić można – dla tego wolę *danse du ventre*.

–...albo polkę-mazurkę na balu pomocników fryzjerskich – mruknął ironicznie d’Espagnac, podparty obu dłońmi i zapatrzony w panią de la Serre.

Tańczyła *Valse Triste* Sibellusa. Nago. Utrzymywała, że inaczej walca tańczyć nie można, tak jak nie można inaczej tańczyć menueta jak w białej peruce. Słuszność miał Vigée, twierdząc, gdy „*walse*” przybył do Francji, że nie dziwi się, iż tańczą go matki, ale dziwi się, że matki pozwalają go tańczyć swoim córkom. Walca może tańczyć tylko kobieta, która wie, co jest miłość, cielesna zazdrość i erotyczny spazm. Z tych trzech pierwiastków składa się brzmiący trzyćwierciowo jego rytm – mówiła pani de la Serre, cicho wsuwając się jak antyczny posąg na czerwona, kamienną posadzkę, z której ściągano pospiesznie dywany.

Fantastycznym zygzakiem odbijała się jej postać w lśniącej powierzchni, na której delikatne, białe, nerwowe jej nogi wybijały takt przedwstępny. Jak przydymiona wisiała nad nią ogromna perska kotara, sypiąc, zda się, wprost na jej rdzawe włosy, bogactwo blade i ciemnobłękitnych kwiatów, o liściach oranżowych, konturowanych turkusową barwą, nakrapianych purpurą tła.

Lampki nasze oliwne, trzymane w rękach, rzucały poświatę niezdecydowaną, chryzolitową, na ruchy tych rozpasanych białych lędźwi, białych ramion, białych stóp, przy których strażowały potworne mordy trzech buldogów. Unosił się nad tym obrazem duch Ropsa, a może nawet duch Goi, zmysłowy czar rzeczy wiecznych.

\*\*\*

Pani de la Serre żądała, aby akompaniator stosował się do jej tańca, nie ona do muzyki.

– Z dwóch elementów winien brać górę element potężniejszy, a największa potęga jest wcieleń tańczącej kobiety: tajemnica jej ust, jej oczu, jej łona, tajemnica bytu w jej geście, który wszystko daje, nie dając nic, albowiem wszystko jest znikome, wszystko się rozplywa jak korowód tanecznych ruchów, jednocząc w sobie zagadkę życia, negację życia i samo Życie.

Piękno najotchłanniejsze.

Ludzie, chcąc spopularyzować dostojność Sztuki, uczynili z tańca solowego taniec w pary. I tak wkroczyła pornografia do tej świątyni. Taniec w pary bowiem jest pornografią w entej potędze.

Pani El grała z pewnym przestraczem, podkładając wprost tony pod triumfalny marmur przewijającego się ciała. A grała na ksenorfiku Rolliga, fortepianie o akcentach gitary i harfy, dających pogłos akordom, przeciągły, zagadek pełny.

Po walcu Sibeliusa zarzuciła pani de la Serre płaszcz z soboli na nagie ciało i zaczęła tańczyć Intermezzo Mussorgskiego. Gięła się i wiła niepokalana biel jej linii w tej złotobrunatnej sierści zwierzęcia, z precyzją jakąś szatańską, z porywami jakimiś obłąkańca trzymanego na uwieży, z czajeniem się pantery, która może nogi polize widzom, a może skoczy im do gardła. Czekano się po prostu w osłupieniu, kiedy ona podniesie swoją wąską twarz ku niebu i zacznie wyć,

kunsztownie, z posepną brawurą, coraz groźniej, przejmując dreszczem słuchaczy...

Nawet buldogi wyczuły realizm tej plastyki, bo najeżyły się raptem, złe i niespokojne.

Lecz pani de la Serre zrzuciła nagle futro. Ciało jej rozedrgane, prześwietlone dźwiękiem, sztywniało w jakiś ornamentacyjny fresk, równy, chłodny, klasyczny.

Ze stołu wzięła złotą gazę i przewiązała sobie nią oczy – może dla tych słów Maeterlincka:

*Les filles aux yeux bandés  
Otez les bandeaux d'or  
Les filles aux yeux bandés  
Cherchent leurs destinés...*

Wówczas uderzyła pani El pierwszy takt Debussy'ego „*Et la lune descend sur le temple qui fut*” i rozpoczął się nowy taniec – nie taniec: skandowanie tylko nieuchwytnie, przesuwanie się linii zdobniczych, bardziej architektonicznych niż malarskich.

Doprawdy, wszystkie style zdawały się odżywać w niej, wszystkie kombinacje, jakie kiedykolwiek człowiek zakuł w marmur swoich domów i swoich świątyń. Czasem oplatały się jej ręce w liście winogronowe, renesansowe, aby za chwilę opaść wzdłuż ciała, prostolinijnie, jak na doryckiej kolumnie – kadencja plagalna wyryta w kamieniu – to znowu wzburzały się jak wichrem porwane, tworząc fałdzistą, powyginaną, barokową symfonię. I znowu martwiały w chłód i strzelistość gotyku.

A nad tą fantazją kamienną świeciła ciągle blada, zagadkowa, nieruchoma twarz, przecięta złotą gazą.

\*\*\*

Ginęły tony rzeczywiste, ginęły ruchy rzeczywiste, zacierała się biała vibracja na przydymionym tle makaty – zamierał szept poza muzyką, poza tonem będący, i to echo, które odpowiada z zaświatów ludzkim porywom ku zaświatowemu Pięknu – zawieszała się nawet w nas ekstaza –

Wizje goniły się. Ritta Sachetto, która tak przedziwnie poznała duszę draperii – Loie Fuller, która stworzyła serpentynę – Fanny Essler, która stworzyła kaczuczę – Ruth St. Denis, co wskrzesiła ducha starych Indii i biedna La Guimard, której Czas jedynie nogi oszczędził, tak że tańczyła przy spuszczonej do pół kurtynie, żegnając teatr, aby publiczność tylko boskie jej nogi podziwiała, na twarz zgrzybiałą nie patrząc...

No i Polaire, lichy zwodny, chochlik, pełen okrucieństwa, błysk piorunu, trzaśnięcie pejcza, dziwaczna łodyga nadpowietrznej orchidei, na puzzolanach żyjącej, gardzącej ziemią i sokami ziemnymi... No i tamte – poza burżujskimi pannami Wiesenthal – tamtych cała armia na jednej nodze wirujących, w trykotach... Zambelli, La Camargo, Truhanowa – Wszystkie gromadziły się, aby stworzyć ten jedyny surrogat duszy helleńskiej, zbratanej z duszą Europy nowoczesnej – Taniec pani de la Serre.



\*\*\*

Do wtóru gwarzyła w dali Nizza swym lekkomyślnym kontraltem.

Przez ogromne okna, porozwierane na oścież, buchała nieprzerwanie aria morza, zgłuszona, skrzepła, kołysząca do snu muszle i korale – tak cicha jak śpiew kobiety, która poprzez swój śpiew chce usłyszeć coś niezmiernie ważnego, na co czeka i w czego przyjście niezupełnie wierzy – wpadał twardy chrząst liści palmowych, potrząsających w ogrodzie swe teatralne pióropusze – bił słabo grad kwiatów pomarańczowych, spadających na murawę i coś dźwięczało, grało, chichotało, śmiało się – brzęczeniem złota, zgrzytem drobnych ząbków zębami szukanych, chrząstem jedwabi, dreszczem klejnotów, szelestem rzęs kobiecych –

Powietrze składało się nie z azotu, rzekłbyś, nie z tlenów i kwasów wylanych, ale z polichromii jakiejś metafizycznej, z tonu przejrzystego na wskroś, jak gdyby bita dziecinna ręka w chińskie tam-tam, okolone szczerozłotymi dzwonkami, przepych radzów w tonach i woniach, co szły od tej nocy, od tego morza przeczuwanego, od tego bezsennego miasta, od tych ludzi, którzy tam, za oknem, daleko – purpurowe usta całowali, rozplatali puszyste włosy elektrycznością naładowane, gonili wytworne laleczki w toaletach od Paquina i rzucali złotem na stoły, na tace, na podłogi, na dywany – Klisze astralne, nie rzeczywistość.

Pani de la Serre skończyła tańczyć, trzymało nas jednak skupienie jak kurcz trzyma mięśnie, tylko markiza de Clinchamps obojętnie patrzyła przez okno, a Marokanka śledziła brata swymi złowrogimi, prowokującymi oczyma.

– I pomyśleć, że to wszystko razem pierwszym lepszym chodometrem da się zmierzyć – rzekła wreszcie sucho. – Jak matematyk jeden wyrachował, przeciętny walc równa się kilometrowi drogi, kadryl – dwom kilometrom etc. Po cóż ta emfaza dla reklamowania zwykłego ćwiczenia kończyn, od którego wyższy już w pożytku higienicznym chociażby system Müllera?!

#### IV. SERCE FARAONA

*Co między sobą króle poczną lub co leży  
Upowite we fałdach, na kolanie bogów –  
Tego się wywiadować nie jest rzeczą moją...  
(Norwid, Kleopatra)*

#### IV. SERCE FARAONA

*Jest to fakt zupełnie wiarygodny, że Madame, córka  
królewska, bawią się z jedną ze swych służących,  
spojrzała na jej rękę i policzywszy palce, zawołała:  
– Jakże to, więc i ty masz pięć palców, tak samo jak ja?!  
I aby się upewnić, przeliczyła je jeszcze raz.  
(Chamfort)*

Oprócz ksenorfika Rolliga miała pani de la Serre rozmaite monokordy, wirginale, klawicyteria, giraffenfluegle i terrassenklawiatury, ale najciekawszy wśród tej kolekcji był fortepian krzemieny, unikat, kupiony u pana Baudre.

Trzydzieści lat pracował nad nim pan Baudre. Dwuoktawowy ten instrument składał się z kawałków krzemieni, których ton tylko od polerunku zależał, nie zaś od wielkości ani kształtu bryłek. Najmniejsza skaza na kamieniu czyni ton wyższym lub niższym, dlatego

obok brył wążących po cztery kilogramy, znajdują się bezpośrednio malutkie krzemieńce po 500 gramów.

Pani de la Serre nazywała grę na tym instrumencie „muzyką przedhistoryczną” i istotnie w tonach tych prymitywnych, rubasznych, pozbawionych wibracji i ciągłości, leżała jakaś dusza przedhistoryczna, dusza dzikiego człowieka, czyhającego z toporem kamiennym na dzikie zwierzę lub na drugiego dzikiego człowieka.

Nissâ, odporna na wszystko, co spotykała w Europie, wpadała w trans, gdy odezwał się burzliwy, twardy, klekocący akord krzemiennego fortepianu. Zmysłowe jej nozdrza rozdymały się i wchłaniały dźwięki jak woń, a usta, pozbawione zalotności, jednakże wschodnią namiętnością nasiąkłe, drgały raz po raz. Nawet El-Glaoui, zeuropeizowany już nieco, popadał w zadumę, jak gdyby ton ów przestał mu może być swojskim, ale jak gdyby niósł reminiscencje bogate i miłe. Czarne jego brwi, przecinające jego czoło, jak jedna linia, od skroni do skroni, falowały pod naporem myśli, a oczy, które miał i tak ludożercze, stawały się jeszcze bardziej nieokiełznane, zadziwiając wprost, że pośród nas, Europejczyków, nie patrzą spoza tęgich krat, jeno z wolności. Wstawali, prostowali się. Nissâ, wysoka i rosła, górowała nad nami wszystkimi, pod swoją barbarzyńską, oksydowaną koroną włosów. Oczy koloru *bleu d'enfer*, „dwa otwory w kałamarzu” (jak mawiał o oczach swej kochanki ksiądz Murtola), patrzyły złowrogo i prowokująco na nasze drobne, wykwintne sylwety, a usta lśniące jak z kermesu, nie uśmiechały się nigdy.

Europa nie była godną ich uśmiechu. Cała rodowa i plemienna duma burzyła się w niej, gdy jej brat interesował się żywiej czymś europejskim, co było w niezgodzie z pojęciem piękna i zwyczajami ich kraju. Poszła za nim na Sorbonę z dalekich, zapadłych *duarów*, gdzie miast domów – namioty z koziej sierści.

Choć rodzona jego siostra, zaręczona była z nim od kolebki jako jedynie godna jego książęcej łóżnicy. Kochanek mógł mieć, ile chciał, ale żoną jego, tą pierwszą, tą, do której służba zbliża się na klęczkach, mogła być tylko ona, ostatnia po kądzieli z ich książęcego rodu Uasanich, jak ostatnim po mieczu był on.

Przyszła za nim jako straż milcząca i bezpardonowa, niedopuszczająca najmniejszych ustępstw na rzecz Europy. I cierpiała z zaciśniętymi zębami, patrząc, jak powoli wsiąka kultura europejska w żyły jej brata, co zresztą było tylko pozorne.

Czego się ona nauczyła na kursach Sorbony? Nie wiadomo. Długoletni pobyt w najkulturalniejszej stolicy świata nie zmienił jej w niczym. Zdjęła tylko zasłonę z twarzy, swój marokański pas brokatowy, swoje trzewiczki berberyjskie, w których tylko palce się mieszczą, poza tym nic się w niej nic zmieniło.

Zastawaliśmy ją w domu, siedząca, na podłodze i pijącą herbatę – ów narodowy trunek marokański, przyrządzany w dziwny sposób, bo gotowany z miętą. Jadła przy tym placki miodem nadziewane i smarowane grubo jak najstarszym owczym masłem. Czasami zastawaliśmy ją nad skorupami z ostryg i

wnętrznosciami kur (koniecznie czarnych), z których wróżyła przyszłość sobie, bratu i znienawidzonej dynastii Tafilatet.

Żyła samotnie, rzadko do nas przychodząc. Obsługiwała ją Czerkieska, w długie *hamum* przyobleczona, kaszląca lub na przemian śpiewająca monotonne marokańskie pieśni, do hiszpańskich podobne. Do wtóru brząkała w struny *uta* albo przesuwiała ziarnka *teshiby* – różańca służącego w haremach i do modlitwy i do bezmyślnego zajęcia rąk. (Tak jak u katolików). Mesle-Alem oblewała się wodą fiołkową o woni tak intensywnej, że całe podwórze „marokańskie” pachniało fiołkami.

Mają one swoją historię, te fiołki.

\*\*\*

Mesle-Alem służyła przed laty u starszej córki sułtana tureckiego, Zekkie. Była raz zabawa w haremie Abdul-Hamida, była na niej i Zekkie, popisywała się na niej i Alem, w skromnej szacie niewolnicy. Na pojęcia wschodnie wydawała się brzydka, bo szczupła była, wysoka, o malutkich piersiach dziewczynki i brwiach cienkich jak włos. Lecz Abdul-Hamid, jeden z pośród panujących Wschodu, lubił smukłe i wątle dziewczyny. Nazajutrz tedy posłał dwóch eunuchów z wspaniałą kareta do Zekkie i rozkazem, aby wydała natychmiast Meste-Alem.

Wsiadła Alem do karety, oszołomiona i półżywa. Wykapano ją na gwałt, ubrano w brokaty i jedwabie,

polano fiołkowym olejkiem, ulubionym przez Padyszacha. Walida-Sułtanka przez cztery dni wpajała jej zasady form dworskich i po czterech dniach puszczono ją do komnaty monarszej.

Ale – nie wiadomo, co się stało? Czy minął kaprys sułtana? Czy Czerkieska wyglądała gorzej w brokatach i jedwabiach, naszpikowana nauką o formach dworskich niż ta dziewczyna wiotka, tańcząca sennie w niewolniczych szatach? Nie wiadomo. Dość, że sułtan zmarszczył tylko swoje straszne brwi, ujrzawszy ją, i rzekł szorstko:

–Nie ta. Odwieźć ją.

I odwieziono ją, a raczej odprowadził ją do Zekkie jeden Murzyn, który całą drogę na znak nieposkromionej uciechy gwizdał przez palce, chwycił się za brzuch i aż zanosił od śmiechu (przyp. autorki: Dzieje Meste-Alem autentyczne.).

Potem Meste-Alem dostała się do obecnej swojej pani.

Zdarzenia jej egzystencji skraplały się w niej coraz bardziej w bolesną apatię. Apatycznie tedy wykaszliwała dzisiaj resztę płuc, umierając z obrażonej miłości własnej, czy też z tęsknoty za... sułtanem, który lubił wiotkie dziewczęta, fiołkowy olejek i przemijające miewał kaprysy.

Na to był przecież sułtanem.

\*\*\*

– Czy ty się nie boisz łączyć węzłem małżeńskim z rodzonym bratem, co przecież nauka nasza wykazała jako zgubne dla rasy? – spytała raz Marokankę pani El.

– Nauka *wasza!*? – powtórzyła Nissâ z lekceważącą pogardą. – Że przez łączenie się w rodzinie zwiększą się nasze wady i cnoty? To i cóż? Będzie wszystko podniesione do kwadratu może, ale będzie znowu ekwiwalent, bo wzmogą się i cnoty i wady.

– A jeśli tylko wady się wzmogą?

Nissâ obróciła wolno swą piękną, barbarzyńską głowę ku nam i rzekła, wzdymając nozdrza:

– Nie szkodzi. Nawet wady nasze są piękne.

– Harda ty moja – odezwał się El-Glaoui, a ona, objąwszy rękoma kolana, zaczęła mówić głosem podobnym do tego *hululu* kobiet arabskich, którym one witają ukazujące się w dali mury świętej Mekki.

\*\*\*

– Dlatego wasze Państwa w łeb biorą, że nie umieliście wmówić podwładnym waszym, iż to, co jest u podwładnego zbrodnią godną szubienicy, to u władcy byłoby co najwyżej kaprysem. Tron dziedziczny powinien być murem od świata odgradzony, niedostępny ani ludzkiej krytyce, ani ludzkiemu sądowi i ta jego niedostępność powinna być aktem międzynarodowym zastrzeżona. System monarchistyczny wyobrażam sobie jako matę bambusową, wzniesioną na złotych słupach i szczelnie osłoniętą, po której władca raz do roku przechadza się



kilka minut, podczas gdy hołota w adoracji klęczy pod matą, szczęśliwa do niebywałych granic, gdy poprzez szpary maty dojrzy piątą królewską. Nie w Mekce jest papek świata, ale w każdym władcy jest on dla jego poddanych; tak być powinno, inaczej stokroć lepiej od razu ogłosić Republikę. Nie ma tu kompromisów. Albo bezwzględny, ślepy, ogłupiający fetyszyzm, albo... albo... republika. Konstytucje, autonomie to śmierć etyczna, bo etyka może tylko polegać na pojęciu Władzy. Katolicyzm, podpierający trony, zadał im właściwie cios okrutny, ho w tronie powinno się ześrodkowywać wszystko, tak kult polityczny, jak kult religijny. Samo *pomazanie* sakramentalne, jesr za małym prestiżem religijnym. „Panujący” powinien być zostać bogiem, tak jak nim był dla świata starożytnego i jak nim jest dla wielu ludów wschodnich i afrykańskich.

Zadyszała się, mówiąc spieszenie i hardo.

– Jakie to dziwne, iż wy tego nie pojmujecie, Europejczycy, że gdy leży człowiek na szynach i nadjedzie raptem pociąg, to nie wstrzyma on maszyny, choćby był rzymskim gladiatorem, a ręka dziecka może ją wstrzymać w sekundzie, gdy jest u steru... Pochwalona niech będzie ręka chociażby dziecka, która jest u steru... Czyż wy tak prostej rzeczy nie rozumiecie?!

– Owszem – rzekł d’Espagnac – tylko myśmy tę alegorię inaczej obrócili. Oto wydobyliśmy z niej naukę, iż represją doraźną i choćby najgwałtowniejszą nie uczyni się nic, tylko naciśnięcie odpowiedniej sprężyny może dać rzeczy bieg inny. Przedstawicielami

zaś doraźnej represji byli autokraci i dlatego...  
wyrzuciliśmy ich za drzwi.

– Mówiłabym – przerwała Nissâ – ale...

– Mów, młoda pantero – rzekł pobłażliwie d'Espagnac, lecz Marokanka odwróciła twarz ku oknu i nastrojowy był to ruch, gdyż okno dawało widok na zachód, a na zachodzie właśnie kładło się słońce, wzniecając pożar w barbarzyńskiej, oksydowanej koronie jej włosów.

Patrzyliśmy w nią jak w piękne zwierzę, zachwyceni jej cudnie uformowaną szyją, wtoczoną jak granit w sklepienie ramion i piersi, tylko mała Luce de Clinchamps spokojnie szkicowała głowę szeryfa, zwróconą również ku zachodzącemu słońcu.

Miał on wstręt atawistyczny do fotografii i portretowania, ale małej Luce wszystko było dozwolone. Więc rysowała cicho i bez przerwy. Szmer ołówka jednakże irytował Nissę. Spojrzała swymi złowrogimi, prowokującymi źrenicami w dziewczynkę jakby jej coś rzucić zamierzała między oczy, lecz w tej chwili wróciła do swego ulubionego tematu.

– Wyście kiedyś znali wyższość kastową – rozpoczęła na nowo – ale nie umieliście jej strzec i hodować. Opowiadał mi Flavencourt, wnuk jednego z markizów, który czekał na gilotynę w *Conciergerie*, że zamknięta tam była z nim i księżna Monako. W przededniu śmierci trzy razy dziennie zmieniały toaletę, ona i inne z nią zamknięte panie, a gdy wchodził jaki urzędnik, co było przecież zawsze wyrokiem śmierci

jednej z nich, żadna z pań nie bladła – rozpałały tylko kadzidło, gdy wyszedł, aby wykadzić „chamski odór”.

Naprzeciw celi księżnej Monako zamknięty był piekarz Cortay, a że wówczas świat przewracał się do góry nogami – piekarz posyłał księżnej pocałunki, jak mógł najczęściej.

Księżna dziwiła się naturalnie demencji tego człowieka i patrzyła na te pocałunki jak na zjadanie na przykład noży przez wariata, ale gdy ostatecznie zgilotynowano go 17 czerwca, rzekła do markiza:

– No, przecież nawet tak haniebny rząd umiał stanąć w obronie dostojęstwa.

– Jak to?! – spytał zdziwiony markiz.

– Wszakże stracono tego piekarza, który się ośmielał mnie pocałunki przesyłać, nie?

I najgłębiej była przekonana księżna Monako, że Cortay został stracony za znieważenie jej swymi pocałunkami.

– Władców przede wszystkim powinniście byli chować odpowiednio. Dzieciom królewskim powinniście byli dawać ucięte łby rebelizantów, miast piłek do zabawy – niechby nawykły od młodu do okrucieństwa i zimnej krwi. Wyście chowali *dauphinów* waszych jak się baby chowa i dlatego w Europie byli królowie tacy, którym poświęcane głowy motłoch ucinał. U nas inne dawano dzieciom królewskim zabawki, inne pokazywano im obrazy.

Macie ostatni numer *TERRE PROMISE*?

Podaliśmy go jej nierozcięty. Wyjęła więc długą szpilkę platynową z krawata i rozcinała numer powoli.

W szpilkę tę patrzył chwilę kaid marokański, wreszcie rzekł:

– I jeszcze jeden urok ma Wschód, oprócz fabrykowania zabawek dla dzieci królewskich.

Oto kobieta wschodnia tej antypatycznej broni nie posiada, którą posiada Europejka, mianowicie... szpilek w toalecie.

Tymczasem Nissâ rozcięła numer i bez żadnych komentarzy zaczęła głośno czytać felieton:

PAN

Nie było Pana.

Rozglądała się jak spłoszone zwierzątko, malutka w ogromnej Sali, podobna w swej żółtej sukni do jesiennego liścia, który się od drzewa oderwał i padł, przyniesiony wiatrem, na białą podłogę *triclinum*.

Poprzez żółtą, świąteczną tkaninę połyskiwało jej ciało jak słoniowa kość.

Przepaska czołowa, ruszona brwiami, zsunęła się tuż na oczy, dając im jakąś bajeczką wyrazistość i tworząc pyszny ton ze źrenicami, które miały barwę palonej kawy, barwę niektórych odmian nasturcji.

Włosy, sztucznie wiązane i plecione, wiły się ogromnymi warkoczami po ramionach, wynurzając się nagłą, oślepiającą białością brzegów tuniki.

Twarz była przeciętna, twarz dziecka, o liniach jeszcze niewykończonych, niezaostrzonych, miękkie, jasne, młode.

Spojrzała na drzwi prawe, spojrzała na drzwi lewe i miała już ruszyć się z miejsca, gdy na wprost jejło iść dwóch niewolników.

– Gdzie idziesz? – spytał szeptem wysoki, rudy drab.

– Do Pana.

– Wołał cię? – spytali obaj.

Potrząsnęła głową.

– Nie?... Więc jakże?! – zdziwili się.

– Wiecie, że wczoraj Pan zakończył sprawę z prokonsulem o to, że mnie zbił prokonsul na ulicy. Muszę Panu podziękować, iż mnie bronił tak zażarcie, tyle miesięcy, żądając zadośćuczynienia!

Szczerza, entuzjastyczna nuta brzmiała w jej głosie, ale niewolnicy nieufnie na nią spojrzeli.

– Tfu! – rzekł Bezręki. – Chyba żeś, zauważyła, iż Panu nie tylko o jego własność chodziło, ale i o twoje ścierwo różowe...

– Ale!!! – zawołała oburzona.

– Nie?! – roześmiał się Rudy. – No, to idź i przygotuj się na różgi albo i na coś gorszego.

Poszła dalej i przemyśliwała nad tym, co mówili niewolnicy.

Nie rozumiała słowa WŁASNOŚĆ, ona, która nigdy nic swojego nie miała.

Skradała się coraz wolniej, pełna niejasnego przerażenia, nad słuchując własnych kroków, które były, zdawało jej się, z szalonym łoskotem o biały marmur podłogi.

Szła jak kot w miękkich, świątecznych, złotonych sandałach, a za nią smuga olejków heliotropowych.

Nogi załamywały jej się nie tylko w kolanach i kostkach, ale miała wrażenie, że wyginają się całe jak galareta, a w uszach szum dudnił uporczywy.

Nagle odsunęła się jakaś kotara i stanął przed nią Pan.

– Kto cię wołał? – spytał chłodno.

Dziewczyna zwała się do jego nóg.

– Przyszłam ci podziękować, Panie, żeś mnie... żeś mnie...

– Żeś co?

– Żeś się o moją krzywdę tak długo prawował... o mnie...

– O CIEBIE?! – rzucił Pan szczególnym głosem.

Nie śmiała powiedzieć: *tak*, więc tylko głową skinęła pokornie.

Przez chwilę poruszały się jego patrycjuszowskie nozdrza, jakby wdychiwał woń tego młodego ciała, klęczącego u jego kolan. Szybko przejrzał linie dziecinne, szyję niewidzianie gładką i wpuszczoną liliowymi tonami pomiędzy ramiona, oczy duże o krótkich, gęstych rzęsach i barwie nasturcji – i przymknął powieki. Despota wziął się za bary z człowiekiem, którego żądza owiała wichrem nagłym.

– Więc myślisz, żeś się o plecki twoje upominał, które ktoś śmiał rzemieniem przeciągnąć?

Mówił na wpół drwiąco, ale mniej ostro, dlatego śmieiej głowę podniosła i rzekła:

– Tak.

– Tak?! To się mylisz. Upomniałem się o własność MOJĄ, o prawo moje bezwzględne do ciebie. O nic więcej.

Zapadła cisza. Strach jakiś powiał nad głową dziewczyny. Nie rozumiała jego przyczyny, ale miała ochotę porwać się i uciekać poprzez długie korytarze na oślep.

Tymczasem Pan nachylił się ku niej i wziął ją za ramiona. Zbolały ją palce jego, cienkie a muskularne, które wpite w jej ramiona podnosiły ją z ziemi.

Pospiesznie zerwała się, a Pan objął ją jeszcze brutalniej i twardo, zimno jął całować jej kark.

Całował coraz silniej, wreszcie uczuła dotknięcie jego zębów i ból. Kąsał tak samo zimno, aż dojrzała, że krew spływa po piersiach na drobne palce.

Gdy się ocknęła z rozkoszy śmiertelnej, usłyszała, jak dzwoni w dali woda o marmurowe cembrowanie.

– Wstań – rzekł krótko Pan.

Wstała odurzona, usta mając pełne krwi i szyję pooraną zębami.

Wówczas Pan uderzył mocno pałeczką w blachę złoconą, którą dwa fauny z brązu trzymały.

Patrzył w dziewczynę, jakby rachował rubiny, płynące po żółtej, świątecznej jej tunice, a gdy wszedł na uderzenie blachy dozorca niewolników, rzekł:

– Ta dziewczyna przyszła do mnie niewołana. Ta dziewczyna ośmieliła się sądzić, że ja jej skóry broniłem, którą naruszył prokonsul. Ta dziewczyna nie ma pojęcia, co jest Pańska Własność i co przywilej

Władzy. Za to musi być ukarana, aby się to nie powtarzało wśród niewolników i aby wiedzieli po wsze czasy, co jest WŁASNOŚĆ i WŁADZA.

Zwrócił się na powrót do dziewczyny, która pod perlami swojej krwi czekała raczej osłupiała niż przerażona i dał znak jakiś ręką dla niej niezrozumiały.

Dozorca posunął się ku niej wtedy i – drobne rany, które miała na szyi uczynione zębami Pana – połączył nożem w jedną wielką ranę, po czym bezpośrednio głowa dziewczyny poleciała w tył, bez szmeru.

Tak jej wytłumaczono pojęcie WŁASNOŚCI i WŁADZY.

\*\*\*

Nissâ złożyła numer dziennika i rzekła:

– Napisała to pewna moja znajoma, której owo wspomnienie z dziecinnych moich lat opowiedziałam. Ubrała je w szatę niezupełnie zgodną z rzeczywistością, ale fakt jest prawdziwy. Patrzyliśmy dziećmi, Glaoui i ja, na tę scenę, bowiem okna naszego pokoju wychodziły z pierwszego piętra na salę, która do komnat naszego ojca prowadziła i tam się właśnie odbył doraźny sąd nad ową niewolnicą, która nie wiedziała, co jest WŁASNOŚĆ i co jest WŁADZA.

– *Comme c'est votre joie, o frâgiles poupées!*

– *Car sous avez toujours aimé naïvement. Les joujoux flamboyants et les têtes coupées...* – zaczął deklamować d'Espagnac.



– I jeszcze inną rzecz widziałam – ciągnęła dalej Nissâ – ja i narzeczony mój, ale wtedy nie byliśmy już dziećmi.

W Kairze, w pewnej sali medycznej, wykładowej, leżał przedmiot na stole wiwiskcyjnym. Miał może osiem centymetrów długości i cztery centymetry szerokości. Patrzyliśmy ze wzruszeniem, gdy zbliżał się doń profesor – przedmiot ów był bowiem sercem Ramzesa II.

Doprawdy, nawet ten Europejczyk był wzruszony i ręka mu drżała, gdy ją położył na serce Faraona. Bądź co bądź serce to biło 3000 lat temu, jak grzmot, w królewskiej piersi jednego z największych monarchów świata.

Profesor dotknął serca skalpelem, okazało się jednak, że było z masy twardej jak granit. Wszystkie pętlcowate mięśnie, wszystkie fałdy wsierdzia, wszystkie komórki i ujścia tętnic były z kamienia. Wziąwszy piłkę, zaczął tedy profesor wyklądać, że pod mikroskopem, gdy na dość cienkie płyty przepiłuje serce Faraona, spostrzeżemy na nim te charakterystyczne fibry mięśniów wiązane na krzyż, które tylko w sercu się znajdują i języku – że skamieniałość nastąpiła pod wpływem węgla sody, używanego do balsamowali przez egipskich kapłanów.

Był Europejczykiem ten profesor, więc tak mówił, a myśmy się uśmiechali do siebie, Glaoui i ja. Wiedzieliśmy bowiem, że to serce Ramzesa i 3000 lat temu było twarde jak kamień, albowiem było sercem prawego monarchy.

– Tak – rzekł krótko i dumnie El-Glaoui.

\*\*\*

Tyle hardości, tyle pychy, tyle wschodniej fantazji, tyle gromowładnej poezji leżało w słowach tej barbarzyńskiej dziewczyny, że nie zaprzeczaliśmy jej, skupieni i zapatrzeni w ogień jej prowokujących, złowrogich oczu.

Ale poruszył się Ove Falsen, umysł wiecznie kontruujący:

– Szeryfie! A wiesz ty, ile jest wart człowiek pod skalpelem, chociażby był Faraonem lub Napoleonem Wielkim?

Tłuszcz przeciętnej miary człowieka wart około 12 fr. – jak obliczył ostatnio pewien Francuz – cukier nie napelni nawet miernej cukierniczki, sól miernej solniczki, wapno nie pobieli nawet czterech ścian kurnika, fosforu nie starczy na 1000 sztuk zapalek, magnezu na średnią przeczyszczającą dozę, słowem, Napoleon na przykład, ważący 70 kilogramów, nie przedstawiał większej wartości, jak 35 fr. To samo akuratnie wart twój służący, Kaidzie, co Ramzes II i co Napoleon Wielki.

– *Pokażęć, gdzie się kończą te imperia świata i zadziwiona będziesz, że tak blisko* – mruknęłam. – Och tak, księżno Uasani!

Płomień padł na mnie spod rzęs Marokanki, ale rzekła jakby w zamyśleniu:

– A jednak drżała ręka temu Europejczykowi, gdy ją kładł na sercu Faraona.

V.

## SYMFONIA KROPEL DESZCZOWYCH

*Przypadek, który stworzył człowieka, może powtórzyć  
się jutro.*

*(Rémy de Gourmont, Fizyka miłości)*

V.

## SYMFONIA KROPEL DESZCZOWYCH

*Wołałem Cię dawniej już – pisał on – ale cicho, bo  
dusza cicho woła, sama będąc cicha i przytajona. Dziś  
krew moja Cię woła, głośno, burzliwie, tyranicznie...  
nerwy moje miotają się, ambrozja zmysłów szumi i wre.*

*Musimy się spotkać, królowno zórz dalekich, muszę  
Cię ujrzeć, jak człowiek człowieka, za bliska mi już,  
zanadto żyjąca we mnie.*

*Pani moja wiotka, z anemonami w ręku miast  
sceptru – jaką koronę masz? Żadnej! Prawda, że żadnej,  
Monarchini młoda? Że starczą Ci za koronę królewskie  
włosy Twoje, których pasmo przysłałaś mi między  
dwoma płatkami białej begonii?*

*Cudne mi rzeczy pisały te złote włosy na dwóch  
płatkach białej begonii! List najpiękniejszy, jaki  
człowiek odebrać może – ale odczytać go nie ważyłem  
się. Sfinks musi tak patrzeć w mijające go karawany, jak  
ja w te litery Twoje złote patrzyłem: zanim dojrzy  
prawdę, one go miną. Wiesz, Dziewczynko, że włosy  
Klary-Damianki trzymał Franciszek z Asyżu do śmierci*

*w celi swojej – długie, puszyste, pachnące, złote warkocze, jak Twoje, że nurzał w nie twarz swą ascetyczną, rozmodloną – do nich się modlił.*

*Jak myślisz, Biała Mniszeczko Świątyń moich, możnaż całe życie poświęcić jednej odurzającej modlitwie, jednemu bóstwu, które się Pasmem Złotych Włosów zwie?! Możnaż to. Dziewczynko wytęskniona, której scepter z anemonów, a włosy złote?!*

\*\*\*

Czytałam ten list wzdłuż morza idąc, szosą wiodącą do Villefranche. Wilgotno było. Deszcz padał, drobny, uporczywy, bezlitosny, mącąc niepojęty błękit morza.

Więc on coraz bardziej pragnie, abym doń przyszła, realna, w szacie ludzkiej, ciało żywe, powolne wrzeniu jego krwi?

Wolałabym, aby odłożyło się jeszcze to spotkanie moje z nim. Chciałabym, aby do zenitu doszło we mnie to wołanie o przywilej ludzki dla bezcielesnej dotąd miłości naszej.

Teraz to wołanie zbyt ciche jeszcze we mnie.

Rozleniwia mnie kołysanka jego słów, rozsennia mnie daleki poszum naszych pragnień.

Jeszcze... jeszcze czekać trochę... Niechaj się rozżarzy stal naszych serc – do białości – do palącej białości. Po co odganiać to miękkie, nieokreślone, dzwoniące JUTRU w uszach naszych?

JUTRO przyjdzie i tak.

Niechajże stąpa dookoła nas czar nienazwanych,  
nazwać jest tak łatwo.

\*\*\*

Za skałą, wyszarpaną morskemu dnu, siadłam, od  
deszczu osłonią i wpatrzona w zmarszczone groźnie  
morze. Właściwie nie groźne było, bolesne jakieś  
raczej, rozedrgane jak twarz ludzka w płaczu, całe  
mokre od łez deszczowych.

Doprawdy inna jest mokość morza, gdy je poora  
deszcz cienkimi bruzdami swoich grymaśnych łez. Nic  
tak nie halucynuje jak ten paradoks morza: wiekuista  
zmienność w wiekuistej zmienności.

Wąskie, długie pasma omszałej ziemi wpijały się  
przy brzegu w tafłę, wodną, rzęsom jakiejś wielkoludki  
podobne, złośliwemu zmrużeniu jakichś olbrzymich  
powiek, rękoma bolesnym, które protestują imieniem  
ziemi przeciw straszliwemu indyferentyzmowi morskiej  
szyby.

Za plecami czułam miasto, efemeryczność ludzkiej  
społeczności, a przede mną leżała jej antyteza:  
Nieskończoność – Niezmienność – Wieczność... Bił  
puls Nicości w tej masie wód.

Obejrząwszy się na szosę, ujrzałam Luce de  
Clinchamps, idącą w kapturku, obok małego Falsena.  
Czarny piesek Lucy biegł za nimi. Szli spokojnie, jak  
dzieci, i tacy maleńcy wydawali się na błotnistej szosie,  
wiszącej nad glazurą morskiej przepaści.

Cofnęłam się głębiej w skały, aby mnie nie dostrzegli. Nie pragnęłam niczyjej obecności. Ogarnęła mnie newroza morza, które jest zawsze same. W obliczu ziemi i ludzi, ich starć i walk, morze jest zawsze same.

Kto wie, czy nie nawoływała kogoś samotność moja, ale jeśli nawoływała, to kogoś równie samotnego jak ja.

\*\*\*

Dzieci zatrzymały się niedaleko mnie. Pospieszny, słodki głos Lucy zaczął dzwonić tuż prawie nad moją głową:

– Widzisz, Eryku, te krople deszczu na telegraficznych drutach? Jest tych drutów pięć, jak na nutowym papierze. Spróbowałam kiedyś stenografować te biegnące po nutowych liniach drutu kropelki i, wiesz, pochwycałam parę krótkich, dziwnych melodyjek. Jak ze starych tabakierok grających... Rozmarzają mnie te piosenki, pędzące po pochyłych drutach i ginące gdzieś na horyzoncie. Może zanim te krople doleczą do Eze lub Mentony, ze staroświeckiego kuranciku, wytwarza się jakaś pieśń heroiczna, potężna, od której drżą słupy? Trzeba jednakże notować bardzo prędko, bo krople uciekają, jakby zazdrosne o swoją śpiewną tajemnicę.

W tym miejscu słupy stoją prawie równolegle do siebie, więc krople deszczu zupełnie wolno posuwają się po drutach – perły śpiewające – dlatego przychodzę tu, gdy deszcz pada, i przepisuję piosnki deszczowe.

Kiedyś wypadła mi melodia tak charakterystyczna, że zaczęłam jej szukać pomiędzy nutami moimi – nie znalazłam nic podobnego, dopiero w starym zbiorze szwabskich pieśni popularnych znalazłam identyczną melodię do słów:

*„Für die Zeit, wo du g'liebt mi hast, da dank' i dir schön,  
Und i wünsch' – dass dir's anderswo besser mag geh'n...”*

Zdawałoby się, że nieśmiertelna poezja natury chce nawet to wziąć w posiadanie, co wyłącznie cele praktyczne ma. Nie dziwne, bo że krople piszą w powietrzu na rozciągniętych do innego celu drutach melodie już kiedyś ludziom znane, już kiedyś śpiewane, komuś śpiewane lub czemuś?

– Jak to „czemuś”?

– Myślisz, że smutkowi swemu śpiewać nie można albo samotności swojej? Wszystkiemu śpiewać można, Eryku, wszystkiemu, co jest i czego nie ma.

– Po cóż smutkowi śpiewać, po co przywiązywać jakąkolwiek wagą do smutków naszych? Są one chwilą w życiu, a że i życie jest chwilą, więc jakimże ułamkiem czasu będzie rozkosz nasza lub smutek nasz?! Po co smutkowi śpiewać?

\*\*\*

Umilkły dzieci.



Może Luce wyjęła notatnik i pisała piosnkę kropli deszczowych, goniącą po drutach. W jej głosie piętnastoletniej dziewczynki brzmiał zawsze głuchy żal, gorycz dojrzałej osoby. W głosie małego Falsena natomiast pogoda była, rozważa i entuzjazm. Miał mądre oczy i jasne włosy ludzi z północy.

– Wiesz, Luce – rzekł po chwili – dziwi mnie, dlaczego studium o głodzie napisał właściwie jeden tylko Hamsun, a studium o miłości napisało tylu już ludzi i w słowach rymowanych i nierymowanych. A przecie kto wie, czy nie więcej jest ludzi głodnych niż ludzi kochających prawdziwie...

– „Prawdziwie!”

– O tak, Luce, daje, wyraźną nomenklaturę Miłości, nie generalizuję jej zjawy – krzywdzi się to słoneczne uczucie, dając mu miano JEDNO, a przystrajających się w nie aż TYLU...

– Właściwie jedna Kobieta przystroić się w nie może, bo ona jedna przychodzi doń czysta...

– Jakże się cieszę, że pojęcia nasze schodzą się na tym punkcie! – zawołał porywczo mały Falsen. – Że dajesz Miłości czystość za warunek! Tylko, widzisz, dotychczas nie było czystych kobiet, nie było dziewic, ponieważ żądza w nich cielesna, czy też inne względy były tak silne, że nie wahały się poddawać swej bierności, czy też zaspakajać swe żądze w brudnych ramionach męskich, prostytutce oddanych. Nie może być absolutnie czysta ta, która nie żąda kategorycznie absolutnie czystych ramion męskich. Czystość, wchodząca w jakiegokolwiek kompromisy z życiem, z

popędami natury, z utartymi zwyczajami, z Tradycją, przestaje być czystością.

– Przecież Natura tak mało dba o cnotę Czystości...

– Nie, Luce! Natura dąży do wydoskonalenia swoich tworów, a zatem dąży do cnoty czystości, która jest udoskonaleniem człowieka.

– Więc znowu całą winę zwalisz na kobietę, która nie żądając doskonałości od mężczyzny, czyniła go przez to samo tym, czym był?

– Nie, winy są obopólne i dlatego dziś, chcąc osiągnąć piękne cele, musimy iść znowu zwartą gromadą – kobiety i my – a nie rozjadać się w sprzeczce, które z nas winnym było.

– Tym bardziej, że to, Eryku, co w nas było jakoby zasługą, nie było właściwie niczym w kategorii zasług istotnych – bo że kobieta nie wyzwoliła się fizjologicznie śladem mężczyzny i nie zadowalała swych instynktów jak on, to nie mówi nic o jej wyższości duchowej i nic o jej roli w historii Etyki człowieczej, prawda? Pominąwszy już zarzut biernej wspólności nawet. Po prostu skrzywdziła ją Natura w tym kierunku, jako że każdy wyskok u niej grozi następstwem. Mamy więc drogę jednaką do odbycia, jeżeli chcemy coś dla Etyki ludzkiej zdziałać.

– O, gdybyż droga nasza chciała być jednaka...

Potrząsnęła może głową Luce, bo nie dosłyszałam jej odpowiedzi, natomiast mały Falsen mówił dalej:

– Kto wie, Przyjaciółeczko moja kochana, czy nie w tym szukać trzeba sposobu utrwalania małżeństw, bo że człowiek idzie ku bezwzględnej monogamiczności w

ewolucji swojej, to pewne. Cóż znaczy sakrament? Cóż znaczy prawo?! Rozchodzą się ludzie i tak, jak się rozeszli na przykład rodzice twoi. Jeśli parę ludzką połączy jedna wartość duchowa, jeśli staną równi sobie do wędrówki życiowej, jeśli tworzyć będą etyczny ekwiwalent, jeśli on jej powie, jak ona jemu, że tylko miłość prawdziwa była dla niego sankcją stosunków płciowych – to ludzie ci nie rozejdą się tak łatwo.

Nieczystość duchowa mężczyzny – bierna w tym współwina kobiety jest owym pierwszym oczkiem wypuszczonym z sieci, po którym pruje się cała sieć powoli, ale pewnie. Niezrównoważenie wartości moralnych, ślepe hołdowanie Tradycji – oto jedyna klęska stadeł ludzkich. Przecież targnąć się na majestat dwoistej godności jest trudniej niż targnąć się na majestat cnoty własnej.

– Tyś się nie zbliżał jeszcze do żadnej kobiety, Eryku? – spytał głos Lucy, trochę nieśmiały.

– Nigdy! – żywo zaprzeczył chłopak. – Mam lat dziewiętnaście, zdrow jestem, tęgi. Ciągnęli mnie koledzy do kobiet ładnych i – łatwych – ciągnęła mnie może Tradycja, ta fatalna dusicielka rodzaju ludzkiego, ciągnęły mnie może zmysły – świadom jestem wszakże wszystkiego – ale – zwyciężyłem, Luce.

– Są przecież ludzie z temperamentem takim, że kochać potrafią szczerze w życiu, kilkakrotnie...

– Cóż to szkodzi, Przyjaciółeczko droga? Byle ktoś kochał szczerze, byle nie traktował Miłości jako sportu, jako środka higienicznego, jako probierza wartości męskiej – byle był CZŁOWIEKIEM a nie SAMCEM,

to czystym go nazwę, choćby dziesięć razy w życiu kochał i dziesięć kobiet posiadał. Tak samo kobietę nazwę czystą, choćby się dziesięciu oddała. Etyka ludzka nie jest tępą okrutnicą... Z próchniejących tylko szczątków dyluwialnych wybudowano dla niej paradoksalny Panteon, postawiwszy smoka Tradycji na straży. Dziełem naszym zabić smoka i z ziemią zrównać Panteony...

– Powiedział ktoś, że dawniej walczył mężczyzna o wolność, kobieta o obyczajność – że zaś dziś walczy kobieta o wolność, a mężczyzna o nieobyczajność – dziwny więc jesteś, Eryku...

– Nie dziwny się, Luce. Musi być zawsze awangarda dla czegoś, co idzie. Idziemy w awangardzie, ty, choć nieświadomie jeszcze, i ja, i otwieramy drzwi dobremu JUTRU na szerokie, jasne przestrzenie, gdzie wszystko będzie, oprócz błota.

A po chwili zakończył mały Falsen:

– Błoto, widzisz, w którym się tarzają ludzie, jest przeważnie łzami rozrobione – nie będzie więc tam może i łez.

– To dobrze. Łzy starał się chrześcijaństwo upiększyć, ale nie upiększył; tylko szczęśliwa Ludzkość może być piękna. Chyba jedynie te łzy deszczowe są ładne, które piszą piosnki na telegraficznych drutach.... Płakałbym chętnie, gdyby łzy moje chciały takie pieśni pisać.

– Ty sama jesteś pieśnią, Luce.

\*\*\*

Umilkły dzieci i zobaczyłam, że odchodzą powoli ku miastu, jakby na spotkanie człowieka, który od miasta ku nim szedł.

El-Glaoui szedł, zawsze z tym niezdecydowanym gestem rąk, które nie mogły nawyknąć do europejskiego rękawa, ciągle szukając głębokich, przepaścistych fałdów *fahashiwy*. Przedstawiciel tej starej rasy ludzkiej, poddanej zmysłom, poddanej tradycjom – antyteza krzycząca – szedł naprzeciw dwojga dzieci, niosących górną i chmurną pochodnię JUTRA.

Zadziwił mnie dialog podsłuchany.

\*\*\*

Och Ty... do którego idę poprzez mgły nieokreśloności, dlaczego nie spytałam Ciebie, zali ręce Twoje są czyste, zaliś nie nagiął dziesiątek białych karków kobiecych do kolan swoich – ot tak, dla chwilowej fantazji; zaliś nie całował tysiąca ust szkarłatnych, zaliś nie trzymał przy piersi setki lalek dyszących... Och Ty... nie pytam.

Idę, ku Tobie, milcząca.

Śpi we mnie jeszcze stara rasa, którą odurza haszysz słów miłosnych.

Nie pytam o nic.

Śpi we mnie stara дума tysiącletnia, ta, która nakazywała dawać więcej niż brać, ta, która też była piękna, w smutnej, żalobnej bierności swojej, ta, którą

wygania dzisiaj precz burzliwy hejnał odrodzenia  
młodego.

Nie pytam o nic...

Och Ty!

\*\*\*

Wstałam i zaczęłam iść jak tamci, ku miastu, a że oni  
zatrzymali się, więc dogoniłam ich.

– *Slama!* – pozdrowił mnie El-Glaoui.

Dzieci uśmiechnęły się przyjaźnie.

Słońce jeło pruć chmury ostrym sztyletem i stało  
się jasno, miło, świątecznie.

Morze tylko pamiętało jeszcze obelgę deszczowych  
bruzd i marszczyło się nadąsane i gniewne. Ty dumne,  
pamiętliwe Morze...

– Słyszałam waszą rozmowę – rzekłam do Luce.

– A? – odparł młody Falsen, podczas gdy Luce  
zarumieniła się lekko.

– O czym mówili? – spytał El-Glaoui i uderzyła  
mnie agresywność jego głosu.

– O ludzkiej parze mówili, przyszłościowej, o  
zróżniczkowaniu wartości moralnej między nimi, tak,  
aby miłość ludzka była niet ylko rozkoszą, ale i  
etycznym czynnikiem.

Szeryf machnął ręką wzgardliwie.

– Słyszę o tym z dawna w Europie. Otóż, moim  
zdaniem, ta empiryczność zapatrywań na Miłość jest  
godną najżywszego potępienia, z jakiegokolwiek bądź  
punktu widzenia byśmy o tym sądzili. Nie żądajmy

postulatów od Miłości innych, jak te, które jej się z prawa przynależą: rozkosz ma nam dać i podtrzymywać nasz gatunek. Kobieta szczególnie powinna milczeć, gdy o Miłość chodzi.

Każde królowanie jest chwilą, każdemu królowaniu zdetronizowanie grozi lub klęska współzawodnictwa – trzeba więc wyzyskać każdy moment tego szczęścia, które leży w dzierzeniu berłem. A czyż dla kobiety nie jest takim momentem dzień, w którym się uczuje kochaną? Niech o nic nie pyta, niech o nic nie stoi, niech włada tylko. Kobieta kochana to sen, to zaprzeczenie życia realnego, to reguła wyjątków... – Swymi ludożerczymi oczyma spojrział na Luce, jakby do niej wyłącznie mówił, a jej mała, blada, śliczna twarz pobladła jeszcze bardziej i wysunęła się z kapturka trwożnie, wypatrująca Przeznaczenie. Oczy z oksydowanego indygo, do dwóch kwiatów skabiozy podobne, zamgliły się, jak morze poorane kapryśnymi brzdami deszczu, a jej ciemno-krwawe, niedziecinne usta, mające ów ton, jaki daje krapp wełnianym materiom, zacisnęły się nad słowem jakimś.

Za czasów Dyrektoriatu zwano pewien odcień żółtej barwy *jaune fifi effarouché* – tego koloru miała włosy Luce de Clinchamps i dlatego nazywała ją pani *El fifi effarouché*, co nigdy tak nie odpowiadało Lucy, jak w tej chwili.

Mały Falsen swymi spokojnymi, rozumnymi źrenicami patrzył na szeryfa.

– Władanie, jak sam mówisz, Kaidzie, jest chwilą, więc po cóż o chwilę stać? Piękny jest ZESPÓŁ dwojga pięknych dusz, a nie WŁADANIE jednej nad drugą...

Ale El-Glaoui kiwał głową wzgardliwie, a twarzyczka Lucy wyglądała ciągle zaniepokojona spod szorstkich brzegów kapturka.

\*\*\*

– Może istotnie jesteście jak te paciorki wodne na drutach – rzekłam do małego Falsena – perły, które piszą dziś piosnkę tylko misterną, a w miarę pędu rozśpiewają się w heroiczną symfonią odrodzenia?

– O tak, pani. Mówiła przecież Luce...

I urwał, bo nagle pośliznęła się ona. Szeryf chwycił ją w pól i stała się twarz jego szara, podczas gdy powieki Lucy przymknęły się – nad jaką tajemnicą przymknęły się oczy Luce?...



## VI. LIBELLULE

*Przemiana treści i kształtu odbywała się  
niedostrzegalnie, bez oznak rozkładu i śmierci.  
Nie było czasu dojrzewania i owocowania.  
Nie było czasu przeżycia i obumarcia.  
(St. Wyrzykowski, *Z północnej godziny*)*

## VI. LIBELLULE

Byliśmy wszyscy przed chwilą na karnawale ulicznym nicejskim. Oślepił nas tam blask. Leżała w powietrzu jakaś jaźń wytworna, jakiś połysk złotego jedwabiu, jakiś subtelny chaos barw, niemających szczególniejszej nazwy, ale przemożnych i chwytających za oczy.

Przy tym odurzył nas zapach, bo – zda się – spoza sfer widzialnych, szedł ostry zapach spoconych koni i ludzi, zmieszana woń amoniaku i ziół, a w pobliżu bił odwar kwiatów najwyszukańszych, przedestylowane etery z kamelii i róż, gaszone czasami kadzielną, żywiczną wońią ambry.

Całe miasto w amfiteatr przemienione, rwące ruchomą falą ludzką, drgające, jak jakie wielkie, wspaniale cielsko jaszczurcze, wydawało się nabite minerałami w tym zadziwiającym, szklistym oświetleniu.

Włosy kobiece – iskrzyk miedzi o popielatych skazach – połyskiwały fosforycznie. Z białych twarzy

wychylały się usta, podobne rozartym hematytom, korale zwarte –rubelity...

Duże, poszerzone lub mrużące się oczy pałały zewsząd jak agaty, jak wpryśnięte jaspisy, pełne nienaturalnego lśnienia – miejscami błysła ta rzadka, smakowa barwa, jaką daje szkło z solą kobaltową stopione, miejscami paliły się dwa diamenty czarne, groźne i twarde, pod klamrą zrosłych brwi – z łóż wychylały się ręce, obciążone w rękawiczki lub nagie aż po łokieć, tak błękitne i przezrocze jak chalkantyt, co zbiegał cokolwiek na powietrzu.

Szyje łukiem wygięte, dumne... i znowu włosy... i znowu usta z purpury i znowu oczy pełne lśnień –

W falę ludzką wpadała nagle inna fala – luźna gromada – zaprzęgi jakieś bajkowe, potrząsające nasturcjami, cyklamenami, pióropuszcami pacioreczników, eukaliptusów wbijały się jak trójzęb mitologiczny w olbrzymią, jaszczurczą pierś tłumu.

Wprost na widzów szły konie muskularne, krótkogrzywe, w białej topieli storczyków, same białe, tylko o nozdrzach różowych i oczach płonących niespokojnie. Zасыpywano je kwiatami i znikaly, wsiakając w morze kwiatów.

Nikt nie wiedział, skąd się kwiaty brały, kto je rzucał, kto je deptał. Wrażenie było tak materialne, tak bijące w mózg, w źrenice, w gardło człowieka, że aż z niematerialnością graniczące. Zatracało się świadomość, że ma się przed sobą tłum ciał ludzkich. Ciało ludzkie nawet, jako określenie, byłoby zbyt niematerialne w zastosowaniu do tej oślepiającej twardości, do tej

bajecznej, przepysznej, wprost krystalicznej jaźni niebywałego amfiteatru, którego tarasy, podłoga i strop były z kwiatów, z perwersyjnej inwencji ludzkiej.

Zakłute to wszystko było w brąz, w klejnot, w metale słońcem topione, lejące się z łóż i ekwipaży na ulicę skwarem rozżarzała, pomarańczową od blasku.

Ruch tych mas nie przeczył zupełnie „mineralicznemu” złudzeniu, bo ruch wszelki wydawał się tylko bieganiem promieni słonecznych po wypolerowanych, oszlifowanych przedmiotach.

Mieliśmy już odchodzić, gdy wjechały na kwadrydze trzy dziewczyny, całe spowite w lewkonie. Szorstkimi gronami spadały im one aż na oczy – oczy tak duże, że zdawały się zajmować całą górną część ich malutkich twarzączek.

Gestem nagłym, spontanicznym, podniosły ręce do góry, sześć gron kwiatów, z których spływały festony na ziemię, wlokąc się za kwadrygą. Chciały rzucać kwiaty w twarz tłumu, ale na szczęście, przez chwilę, gest ich zatrzymał się, bezcelowy, ornamentacyjny jedynie. Jak trzy posągi stały, które o nic nie proszą, niczego nie żądają, niczym nie grożą, samotne wśród gwaru, obojętne, dalekie, niepojęte.

Raptem dostała jedna z nich pękiem jaskrów w pierś. Najeżyła się jak lwiątko. Smuga czarnych brwi zbiegła się pod białym wieńcem lewkonii, a ręce podniesione jęły walić kwiatami. Posążki ożyły, złośliwe, przyczajone, ludzkie już. Prysł czar niepojętości, kwadryga odjechała, poszliśmy i my do domu.

\*\*\*

Teraz siedzieliśmy wszyscy, oprócz Lucy i Marokańczyków, w pustym, obszernym salonie Owe Falsena.

Nie było w nim ani jednego obrazu, ani jednej rzeźby. Lustra tylko, makaty, gobeliny i znowu lustra – wszystkie możliwe – i te najstarożytniejsze z metali, z czarnych obsydianów i te późniejsze, weneckie i norymberskie, co się mszczą na człowieku za próżność jego, oddając obrazy w barwie potwornej, mętnej, zatraconej, i te paryskie Lucasa z XVII wieku, odbijające cały szyk ludzkiej postaci, świetny, przeraźliwie jasny – no i lustra Ludwików, w ramach giętych i poskręcanych, jakby dłonie kobiece obejmowały miłośnie gładkie tafle, w których siebie widziały.

Widzieliśmy się wszyscy w nich, w załamaniach różnych.

Czasem z odległości dwóch pokojów spojrzały na nas czyjeś oczy, blade, zamarłe, do stojącej wody podobne; czasem ukazała się ręka czyjaś, wydłużona niesamowicie, żółta jak szafran; czasem błysnęły czyjeś zęby w uśmiechu niespodzianym.

Poza lustrami i makatami nie było nic. Pufy tylko na podłodze, pokryte szachownicą futer z białych niedźwiedzi, czarnych panter i lwów. Ani jednego dzieła sztuki w całym domu, tylko daleko, w najodleglejszym pokoju, w nyży, wrzynającej się

głęboko w mur staroromańskimi liniami, klęczał marmurowy, nagi olbrzym, z głową wciśniętą w kolana drobnej, malutkiej dziewczyny. Zastygł w tym ruchu, tak jak zastygł enigmatyczny wyraz na twarzy dziewczyny, czyniąc z gruby dyszącej zmysłowością coś hieratycznego, oderwanego raczej i symbolicznego.

Ciekawie w tym przeraźliwym oświetleniu wyglądała głowa Ove Falsena. Rysy te były jakby ugniecione z kulek, z *boulettes*, polerowanych jedynie później kawałkiem drzewa, na modłę rzeźb Corpeauxa.

Dokoła niego pełno było zawsze flakonów i pudełek, leków tajemnych, którymi traktował znajomych – co prawda bezskutecznie.

Nie miały między nami powodzenia wszystkie cudowne preparaty Müllera, antiobesitasy i Gedächtnisslimoniady. Bawiły nas natomiast nieskończone publicystyczne występy Falsena. Zmysł kontradycyjny był u niego tak silnie rozwinięty, że gdy przypadkowo wpadł mu do rąk artykuł jakiś broniący ostrzej pewnej tezy, występował bezzwłocznie z repliką. Zajmował się zaś przeważnie kwestiami religijnymi. Cytował więc nieraz dzieła zupełnie nieegzystujące, świętych nigdy niekanonizowanych, doktorów Kościoła nigdy niedoktoryzowanych i, mimo to, rozmaite Przeglądy Kościelne pomieszczały jego humorystyczne prace.

Burzę śmiechu wywołał niedawno we Francji artykułem, w którym polemizował z instytucjami dla nieuleczalnie chorych umysłowo. Żądał mianowicie zniesienia odnośnych szpitali, na podstawie orzeczeń

świętej Rzymskiej Kongregacji, że jeśli lekarze przysięgą stwierdzą, iż żadne lekarstwo danemu choremu nie pomogło i nie pomoże, to można to traktować niechybnie za wypadek opętania i chorego zamknąć nie w szpitalu świeckim dla nieuleczalnych, ale w celi klasztornej, tak jak czyniono z energumenami w początkach ery chrześcijańskiej, ćwicząc ich biczowaniem i postami, surowo, boć przecież kanon 17, Soboru Ancyrańskiego, postawił ich na równi z trędowatymi i sodomitami (przyp. autorki: Powyższe orzeczenie św. Kongregacji Rzymskiej oraz wyżej wymienionego kanonu jest autentyczne.).

Charakterystycznym zaś było, że w życiu prywatnym Ove Falsen przedstawiał typ najczystszej wolnomyśliciela, odnoszącego się ironicznie do wszelkich wiar, obrzędów, teozofii i lucyferyzmów.

Może wyznawał zasadę Woltera, że nie można większej pogardy tym facecjom religijnym okazać, jak biorąc w nich udział samemu.

\*\*\*

Obok niego rysowała się cienko, prostolinijnie głowa d'Espagnaca, o czole ściętym równo i oczach szukających zawsze ust tego, który doń przemawiał.

Zastanawiała się właśnie pani El nad tym kierunkiem wzroku d'Espagnaca.

– Ileby można powiedzieć o pańskim sposobie patrzenia w interlokutorkę...

– Mów śmiało, Czwarty Wymiarze!

– Gest pański patrzenia na usta mówiącej jest zupełnie naturalny u człowieka, mającego przytępiony słuch, u ludzi jednak tak dobrze słyszających, jak pan, stwierdza to prawie zawsze, że się dany osobnik kobietami wiele interesował. Erotomaństwo właściwie. I to właśnie ciekawe, że erotoman interesuje się wzrokowo ustami kobiecymi, na przykład, a zetknąwszy się z nią, nie umie ust całować. Omija usta lub w ogóle całuje je pobieżnie i nieudolnie. Dowodziłoby to może poetyczności i czystości pocałunku dwojga ust ludzkich, niemającego nic z rzemieślnictwem rozrodczym wspólnego. Myśl dalsza o konsekwencjach pocałunku, przy zetknięciu się dwojga ust, musi zagać zupełnie. Tylko spojenie swoje powinny wargi ludzkie czuć, o siebie raz oparte – inaczej pocałunek staje się pobieżnym i nic nie znaczącym.

– Bawi mnie, kiedy kobieta chce abstrakt przekładać ponad stronę... praktyczną. W życiu przecież kobieta o wiele więcej ceni stronę fizyczną od moralnej. Nieraz, aby odeprzeć natrętnego konkurenta, chwytą się ona sposobów podstępnych, udaje przed dotyczącym brak serca, brak wszelkiej etyki, pozuje szczerze na okrutnicę lub wyuzdaną, ale nigdy nie spróbuje podsunąć mu obrzydzącej myśli, że ma zęby fałszywe, liszaj na ramieniu albo zdeformowane biodro.

Dlaczego?

– No tak... Mądry aforyzm, o tyle, o ile aforyzm o Prawdzie, która wyprzedziła wszelką Mądrość, może być dobry...

– Pani El! Wszyscy wiedzą, że kulturę każdego kraju mierzę: KOBIECĄ, nie, mężczyzną. Nigdy więc nie próbuję kobiecości obniżyć. Wśród antropofagów liczba noszonych kolczyków, piórek, kotek i kółeczek idzie w odwrotnym stosunku do wprowadzanej kultury i faktem znanym jest, że Nyamnyamczyk zostaje długo z pozoru ten sam, bez względu na wsiąkającą weń kulturę, a Nyamnyamka czym prędzej wyjmuje pióra z włosów i kolczyki z nosa. Zawsze KOBIECĄ winno się mierzyć kulturę. Jeśli na przykład opuścił Galicję, gdzie miałem zamiar dłuższy czas zabawić dla studiów nad polską porcelaną, to nie dlatego, że dostrzegłem, iż pan X nosi zegarek... w irchowej torebce, ale dlatego, że spotkałem tam kobietę cudną, rasową i mądrą, która oświadczyła raz *en plein salon*, że potrzebuje kwadransa rano, aby się ubrać, i kwadransa wieczór, aby się rozebrać. Kraj, w którym kobiety cudne, rasowe i mądre nie potrzebują minimum trzech godzin dziennie na toaletę, nie może być miejscem zamieszkania dla Europejczyka.

– Słyszysz, Mormonko, ideale rasy nieneandertalskiej, która się trzy razy co dzień w morzu kąpiesz i to bez kostiumu nawet?

– Za to Beatrix kąpie się ubrana w koronki i klejnoty – odpowiedziała zaczepiona. – Nie pojmuję jej. Kocham morze seksualnym wprost uczuciem. Tak więc, jak byłoby mi nie do zniesienia, gdyby usta kochanego człowieka przez zasłonę dotknęły moich ust, tak nie zniosłabym dotyku fal morskich przez batyst czy fular koszuli.



– Kto wie, Mormonko, czy Beatryx nie więcej je kocha – to twoje morze – skoro doń idzie strojna jak radza indyjski w koronkach i klejnotach?

Beatryx uśmiechnęła się, sennie, a d’Espagnac dodał:

– Och tak, kobieta rozkochana ma większą skłonność do przybierania się niż do rozbierania! Rozebranie jest już w niej refleksem woli samca, aktem fizjologicznym. W poetycznej tajemniczości jej kobiecej natury nie leży ono absolutnie i to jest może jedyną zasługą męską w dziedzinie piękna, że samczą swoją natarczywością wydobył z cieniów Piękno Ciała Kobiecego.

– Dowód jeszcze jeden, że mężczyzna tylko ubocznie może się Pięknu i Dobru przysłużyć...

– Aby je zniszczyć potem – dokończyła cicho markiza de Clinchamps.

– Zniszczyć? – zdziwiła się pani de la Serre, podnosząc wysoko swe pańskie brwi. – W kobiecie – nie. Czy pani nie zauważyła, jaką mleczną karnacją i jaki jedwabny naskórek mają kobiety, które się wiele mężczyznom oddają? Mężczyzna jest nam konieczny jako... kosmetyczny środek.

Coś jakby błysk ironii przemknął po zagasłej twarzy markizy de Clinchamps.

– Przypomina mi szminki teatralne ów środek... zalecany... przez panią. W sztucznej glorii kinkietów wygląda ów szminek bajecznie, z bliska jest niemożliwy, a w następstwach jest zabójczy. Wracamy więc do mego twierdzenia.

I jęła się uważnie przypatrywać swoim cienkim jak włos pończochom, naciągniętym na nogach, do ostatnich granic wytrzymałości – zali nie puściło które sforsowane oczko?

D’Espagnac pobiegł za kierunkiem jej wzroku i uśmiechnął się:

– Mniej przykrym jest kobiecie niedowierzać swemu kochankowi nawet niż niedowierzać swoim... pończochom. Prawda, markizo?

\*\*\*

Markiza de Clinchamps miała w sobie to, co drzewa na jesień. Młode jeszcze i bogate w arcybogate liście tracą je momentalnie za jednym, jedynym podmuchem wiatru. Tak i twarz markizy, młoda i świeża, przy lada ruchu, uśmiechu lub grymasie, otrząsała się z młodości i krasy. Ukazywała się na niej jesień – smutna, bezpardonowa, tragiczna. I dlatego starała się markiza de Clinchamps utrzymywać twarz w możliwie największej nieruchomości, bez grymasów, bez uśmiechu. Gdy czasem drgnęły kąty jej warg, zamierały natychmiast w tym geście i długo, jakby w tiku nerwowym, pozostawała zagięta piękna linia jej ust.

Nazywaliśmy ją SALOME, gdyż pod niezwykle przezroczystymi bluzami i stanikami nosiła zawsze metalowe napierśniki, lśniące kusząco i rycersko na dwóch małych półkulach jej piersi.

Miała być cudną przed laty, gdy ją hucznie do ołtarza prowadził markiz de Clinchamps. Kochała go do

zatracenia zmysłów. Kiedy więc przyjdzie na świat Lucy zdeformowało jej smukłe, dziewicze kształty, które ciągnęły nieprzeparcie markiza, i kiedy markiz rzucił ją i wyjechał w świat z jasnobrewą miss – została jej jedynie nienawiść do córki, dewocja i pasja do gry.

Przed chwilą jeszcze mówiła nam:

– Chyba tylko za czasów Rewolucji Francuskiej mogła kobieta cieszyć się dzieckiem, gdy ogłosił edykt rządowy, że kobiety brzemiennie nie będą tracone. Ale zresztą?

– Markizo! A przecież Pompejusz wzniósł pomnik dla Eutykis, matki trzydziściora dzieci...

– Panie d'Espagnac! I cesarz Adrian postawił na Golgocie pomnik Wenus Astarte – w miejsce krzyża, a przecież pokazało się, że ludzie woleli krzyż...

– Przyjdzie czas dla Wenus Astarte, markizo...

– Może. Ale nie przyjdzie czas dla Eutykii Pompejusza.

Teraz siedziała zamyślona. Cudne jej ręce zwisały z poręczy fotela jak płaczące gałęzie różowego klematisu i tylko złotym, niedyskretnym blaskiem lśniły pod białym fularem, obie półkule jej małych, opancerzonych piersi. Przypominała mi ona losem swoim cisankę, ten gatunek motyla, którego samica jeszcze w obsłonkach niemowlęcych oddaje się samcowi i nie roztworzywszy nawet powiek, rodzi młode i umiera.

– Ot, żyjący protest Dziewictwa!! – mawiała pani El o markizie de Clinchamps. – Jeśli orchideę Schillerańską sztucznie zapłodnimy, nazajutrz zamknie

się ona, smutna i schnąca. I nie tylko ona, ale uschną wszystkie kwiaty na jej pniu...

\*\*\*

W bezruchu swoim drzew jesiennych miała jeszcze markiza de Clinchamps i włosy tego koloru, co jesienne liście: rdzawozłote, nakrapiane na skrętach prawie że purpurą. O jej włosach można było powiedzieć to, co o włosach słynnej ongiś panny Arnould, że są „najbardziej rude z włosów blond”.

W ogóle dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscyśmy prawie byli kolekcjonerami i wszystkieśmy miały, oprócz Marokanki, włosy jasne. Toteż nie szczędził nam uwag d’Espagnac. I teraz odezwał się raptem:

– Mogłybyście stanowić wzory mody za czasów pani Tallien, bo za jej czasów było nieprzyzwoitością mieć włosy inne jak blond.

– Nie lubię tych czasów... – potrząsnęła lokami Beatrix.

– *Petit Crémant rosé*, dlaczego? – udawał zdziwienie d’Espagnac.

– Czasy pani Tallien zabiły najpiękniejsze dzieło ludzkie. Zabiły koronkę. Wszakże Taillard, najznakomitsza z ówczesnych krawczyń, nie przyszyła ponoć w życiu ani jednej koronki.

– Hańba tobie, Rewolucjo!! – śmiał się Ove Falsen.  
– Dałaś wprawdzie Deklarację Praw Człowieka, ale zabrałaś człowiekowi koronkę.

Tymczasem pani El załamała rękę, wołając do Beatryx:

– Duszo koronkowa, jakże helleńską jaźń swoją pogodzisz z faktem, że Grecja również koronki nie znała?! W pieczarach nawet dawnych Indian amerykańskich znaleziono fragmenty czegoś, co można by nazwać niemowlęctwem koronki, a cały świat klasyczny koronki nie znał.

– Jednakże koronka idzie w parze z każdorazową regeneracją kultury, podczas gdy włosy blond, panie d’Espagnac, są dowodem degeneracji.

– Tam utrzymuje profesor X, dajmy na to. Profesor Y zaś twierdzi, że oczy ciemne są dowodem niedostatku intelektualnego, albowiem i Sokrates, i Szekspir, i Milton, i Goethe, i Napoleon, i Renan mieli oczy... niebieskie. Wszystkie dowody mają tedy przeczenie same w sobie. Genialni są i ludzie o włosach jasnych, i ludzie o oczach czarnych, i umiera każdy, i ów czarny, i ów jasny. Nawet święta Teresa umarła, mimo iż przez całe życie wmawiała w ludzi, że tym umiera, iż umrzeć nic może. A zresztą takie dziwne rzeczy, takie drobiazgi, przetwarzają machinę historii i giełdę ludzkich wyobrażeń, że nic dziwnego, gdy ktoś patrzy na nie przez pryzmat koronek, włosów, czy też barwy oczu. Z chwilą przecież, kiedy Rodin złamał nos swemu słynnemu CZŁOWIEKOWI ZE ZŁAMANYM NOSEM, nastąpiła nowa era dla sztuki francuskiej.

Pani El uśmiechnęła się łaskawie na dywagacje d’Espagnaca:

– Dobrze by było jednak, gdyby Historia robiła z podpatrującymi jej ewolucje czynnościowe to, co zrobił Mahomet z sekretarzem swoim, któremu Koran dyktował, pod wpływem jakoby inspiracji boskiej. Powiesił go przy ostatnim rozdziale. Zapewne, aby nikomu nie zdradził, na czym polega inspiracja boska...

– Powiesiła i Historia niejednego... I myśmy zresztą często a godnie ją zastąpili.

– Ci powieszni – rzekła Beatryx – to zawsze duchy krytyczne, duchy rwące się naprzód, duchy uskrzydłone. Albośmy winni, że czujemy się bardziej swojsko w otoczeniu czworonożnych jak uskrzydłonych?

– Proste to i zrozumiałe, malutka Infantko. System pożycia wzajemnego ludzi jest oparty nie na ekwiwalencie poziomów duchowych i etycznych, ale na mniej lub więcej wygodnej możliwości usuwania tych, którzy bezpotrzebni już lub zawadzający nam, lub szkodliwi. Czworonożnego trzeba by zabijać pałką, aby się odeń uwolnić – ekspensować sił dużo i przebiegłości – uskrzydłonemu zaś wystarczy skrzydła pourywać. Zabija ich to jak *libellule*... łatwo i szybko.

\*\*\*

– *Libellule*!! – zawołała nagle pani de la Serre, a oczy jej z terraverte (z Wau, która żółtą farbę daje) zaświeciły jak u żbika. – Czytaliście, co pisał Gourmont o miłości *libellul*? Te przedziwne słowa o błękitnym, drgającym pierścieniu dwóch wazek, oddających się

sobie, między niebem a ziemią? Śniłam o nich, aż mój sen musieli inkarnować Gouldstikkerowie.

Pokazała nam pierścionek roboty tak cudnej, że doprawdy do snu podobnej. Dwie *libellule* z błękitnej, niezrównanie cieniowanej emalii, łączyły się półkolami swych korpusów, spazmem miłosnym wygięte, delikatnie modelowane, tak że nawet ich łapki włochate były, a zwinięte skrzydła lśniły od barw, aplikowanych na złocie, łudząc przezroczystością. Miało się wrażenie, że Gouldstikkerowie uczynili najpierw puch z klejnotów bajecznych, z brylantów, z szmaragdów, z chryzolitów i lapis lazuli, i że z puchu dopiero stworzyli ilustrację do słów Gourmonta, do fantazji pani de la Serre.

Pierścień przechodził z ręki tło ręki, podziwiany szczerze. Zatrzymała się nad nim markiza de Clinchamps i jakby przypominając sobie nagle coś, mało zresztą ważnego, rzekła:

– Wiecie, dziś w kasynie El-Glaoui poprosił mnie oficjalnie o rękę Lucy.

– No i? – spytał d’Eapagnac nerwowo.

– No i oddałam mu Luce – odparła markiza, spokojnie zwracając pierścionek pani de la Serre.

\*\*\*

W głębi sali wstał na całą długość mały Falsen, dotąd milczący i nieruchomy, ale usiadł natychmiast.

Lustro jakieś boczne odbiło momentalnie jego gest, z tragiczną patyną ceglastą i pierrotowym wydłużeniem.

Wyczuwaliśmy, że Męka zasiadła pośród nas, więc stało się cicho. Bez słowa piliśmy naszą herbatę, zaledwie usta w niej maczając, odrętwiali jacyś. Przerażała nas ta matka, pozbywająca się córki, między dwoma pacierzami i dwoma rzutami rulety. Przerażała nas dola Lucy, którą wywiezie barbarzyńca w puszcze bezdenne i którą ścigać będzie zemsta tamtej – poślubionej gryfowi od kołyski.

Zresztą rozjeżdżaliśmy się już wszyscy, każde w inną stronę globu. D'Espagnac do Indii, dla ceramicznych poszukiwań; Beatrix do Irlandii, dla nowego jakiegoś wzoru koronki nowoczesnej; pani de la Serre, bo ja wiem? Dla pary oczu ujranej gdzieś kiedyś w przelocie, z okien pędzącego orientu? Ja wreszcie do tego, który mnie coraz namiętniej przywoływał, sam nie mogąc opuścić misji powierzonej mu na drugim końcu świata.

Nastrój więc był ciężki. Nie odezwało się tedy żadne z nas, gdy raptem stanęli na progu: szeryf, sztywniejszy niż zwykle, i Luce, niż zwykle, bledsza.

Tylko d'Espagnac, pokrywając wzruszenie, powitał ich językiem Juwenala:

– Chcesz się żenić, Postumusie?! Jakież cię kaprys skłania do tego, abyś kobietę sobie brał, tak długo, jak długo jest jeszcze stryczek, na którym powiesić się możesz; okno, z którego możesz wyskoczyć; tak długo, jak długo most jest na rzece w twojej bliskości?!

Pani de la Serre zaś wstała, jedna rozpromieniona myślą, że Luce znajdzie się w haremie – w tajemniczej



świątyni szafu – w atmosferze rozkoszy tak straszliwej jak śmierć.

Luce jednak nie patrzyła na nią. Ogromne jej oczy z palonego indygo, do dwóch kwiatów skabiozy podobne, pobiegły do małego Falsena, proszące jakieś a mocne – jakby poprzez nicosć swoich ideałów namawiały do wytrwania przy ideałach, którym on służył. A potem łagodne, jasne, spoczęły na twarzy markizy de Clinchamps, jak na bóstwie martwym, któremu się nikt nie dziwi, że jest bezlitosne.

Pani de la Serre tymczasem przystąpiła jeszcze bliżej i wzięwszy Luce za rękę, włożyła na jej filigranowe, dziecinne palce, błękitną obrączkę z *libellul* – z tych *libellul*, co żyją dzień jeden, jak markiza de Clinchamps, jak... Luce.

\*\*\*

Cudne, szczątkowe, jednodniowe rasy.

VII.

LA TRISTA SCIENZA

*Ce n'est pas toi que j'attendais, Depuis toujours,  
Ce n'est pas toi que je voyais  
Dans mes rêves d'adolescent et de jeune homme.  
Ce n'est pas toi, que je cherchais  
Dans les jolis corps que j'aimais,  
Je ne t'ai pas vue  
Descendre la colline dans un rayonnement...  
(André Spire)*

VII.

LA TRISTA SCIENZA

*Und alle hat es belogen –  
Und alle hat es betrogen,  
Das sonnige Märchen vom Glück...*

*Dziś wieczór zatem stanę przed Tobą, Czarodziejko  
nieznana – pisał on. – Schylę się do nóg Twoich, jak  
chłop, i ręce Twoje mnie podniosą, delikatne i ciepłe.  
Obiecujesz, że zaraz w progu podasz mi usta swoje,  
zanim obejrzą mnie Twoje oczy, zanim ręka Twoja  
dotknie ręki mojej?*

*Chcesz negować teorii, przeświadczonej, że ręce  
Twoje idą zawsze w przedniej straży oczu i ust? Ale i*

*potakujesz mi bezwiednie, bo oto żądasz, abym zdjął rękawiczki, nim stanę przed Tobą.*

*Widzisz, malutka, serdeczna Królewno, że jednakże potrzebne Ci dotknąć wprzód skóry mojej, by móc mi oddać usta i Siebie.*

*Siebie, Siebie, Dziewczynko.*

*List Twój wre zwątpieniem, wahaniem, strachem nawet.*

*Obiecujesz mi usta swoje na progu, a potem piszesz, że cofniesz się w najgłębszy kąt pokoju, aby stamtąd czekać, aż przyjdzie po Ciebie nieznany Ci człowiek, aż się wyciągnie głodnych ramion dwoje, aż oczy obce wpiją się niecierpliwie w szczupłą postać Twoją...*

*Malutka, serdeczna Królewno, jakżem Cię ukochał w tej trwodze dziewczęcej Twojej przed zagadką miłości męskiej, przed domnieraną brutalnością jego zaborczych gestów!!*

*O pójdź, Królewno nieznana, i nie bój się!*

*Zbyt Cię wypiełgnowało serce moje, aby Cię uraziły moje drżące dłonie, moje spragnione usta, moje rozkochane oczy...*

*Jakież Ci kwiaty rzucić do stóp?...*

*Myślę, że nawet kamelie za szorstkie byłyby jako kobierzec dla Twoich małych, cienkich, bosych nóg...*

*Bo marzę, że z głębi przyćmionego pokoju, z głębi tej hotelowej banalności, wystąpisz Ty nagle, bez szat, biała niezwykłą białością, figurynka alabastrowa i przyjdiesz do rąk moich, bosa, cicha, dobra, uległa,*

*olśniona własną pięknnością i szczęściem, które dać masz...*

*Czy też wystąpisz jak dumna pani, żeby niewolnik klęcząco, powoli, po długiej modlitwie, rozpinał z zapartym oddechem trzewiczki Twoje i suknię Twoją, aby powoli wsysał się oczyma w to ciało, które mu przyobiecujesz, a które zakrywasz ostatnim gestem wahania przed wzrokiem jego – dlaczego? Malutka, dumna, serdeczna Królewno, dlaczego?*

\*\*\*

I oto za chwilę on ma przyjść.

Wieczór zapadł dawno.

Oślonięta brązowym kaszmiem lampa świeci tajemniczo, zupełnie jakby nagle urna z brązu stała się przezroczystą i przepuszczała światło inne, niespodziane, nieznanne w kolorycie.

Kaszmir to czyni.

Głęb banalnego, hotelowego pokoju ginie w pomroce, błyszcząc niewyraźnie to klamrą kufra, to przyborem jakimś toaletowym.

Kryształowe kinkiety dzwonią czasem subtelnie jako pogłos wozu ciężarowego, który gdzieś na ulicy przewala się raptem i wówczas budzę się z zadumy i odrętwienia.

Odrętwia ranie strach.

Patrzę na zegarek, jak w śnie hipnotycznym, i liczę bezwiednie. Co? Tego nie wiem.

Kaloryfer wodny śpiewa żałośnie i monotonie –  
jakieś kroki przebiegają pośpiesznie korytarz – zrywam  
się w osłupieniu i zdenerwowaniu i widzę siebie  
naprzeciw – w lustrze.

Taka wysoka wydaję się dzisiaj, w mojej rdzawej  
sukni, płaczącej się na dywanie, po której pną się  
leniwo starozłote aplikacje – taka szczupła.

Włosy, naładowane elektrycznością, sypią się jak  
puch młodych Harcerów dookoła mojej twarzy,  
zmałałej i bladej.

Czekam – na niego.

\*\*\*

W głębi duszy oponuje coś we mnie, ostatnim  
odruchem hardego jestestwa, które nikomu dotychczas  
oddać się nie chciało.

Krew dudni w żyłach buntem i przeczuwaną  
rozkoszą.

Poprzez mroki oddalenia ukochałam przecież  
dziwnie tego nieznajomego człowieka, którego wzrostu  
nawet nie przypominam sobie.

Teraz, gdy wejdzie, mam prosto, bez słowa, bez  
ociągania się, pójść w jego ramiona obce, bo pisałam  
mu:

*Miłość nasza wyniosła musi być i na inną miarę  
skrojona. Żadnych wstyłów, żadnych komedii  
purytańskich. Oddawszy Ci duszę, oddam Ci się ciałem,  
z prostotą i dumą... Jakżebyś mogła iść inaczej w Twoje  
wybrane ramiona?*

*Dziwię się tym kobietom, które oddawszy rzecz najcenniejszą, DUSZĘ, wahają się oddać rzecz mniej cenną, CIAŁO. Skąd przychodzi to przecenianie jednej wartości kosztem drugiej?!*

\*\*\*

Co znajdę w ramionach Twoich?

Szał potężny, co ubezwładnia?...

Ciche, tkliwe uczucie, co wszystką pustkę życia przekreśli? Czy też zawód olbrzymi, fatalny, druzgoczący?...

Obojętne.

Przysięgam sobie, że gdy to uczucie powstanie we mnie – kiedyś – to właśnie, które dzisiaj łagodną dłoń na czoło mi kładzie, że pójdę za nim. Zwinę skrzydła o lotach samowolnych, zegnę kark i oddam się temu, który moje „ja” posiadać już będzie.

On je posiadł, więc trzeba ślubowanie dopełnić.

Siedzę tedy w owym mieście obcym i czekam na niego, na pana, na jarzmo, na obrożę...

Spóźnia się. Od dwóch minut powinien już tu być. Młody jest, więc wierzy jeszcze w wiecznotrwałość, a przynajmniej długotrwałość życia i dlatego nie czepia się każdej chwili, która szczęście dać może.

O jakże nieprawdziwym jest mniemanie, że u człowieka młodego miłość jest młoda!

Przeciwnie. Miłość jest młoda, szalejąca, zdobywcza, zazdrosna o każdą sekundę tylko u tych,

którzy już wiecznotrwałość, w długotrwałość życia nie wierzą – bo się do kresu zbliżyli.

Ciekawe te wpływy na wspak....

\*\*\*

Gdybyż miłość Twoja chciała być tak młodą, jak Ty...

\*\*\*

Kroki zbliżają się do drzwi.

Pręzę się cała jak w niewysłowionym bólu, stawy drętwieją, a oczy poszerzają się obłędnym strachem.

Tak – to on.

Nie zamykałam drzwi na klucz, więc otworzyły się cicho, bez pukania i w progu stanął on – ten „młody człowiek o matowej twarzy”. Odruch jakiś nieśmiały, studencki, zatrzymał go w progu i tak staliśmy naprzeciw siebie, przedzieleni tysiącem drobnych sprzętów, które się wydawały pasmem gór nieprzebytych.

\*\*\*

Dlaczego wynosimy się *darem* mowy nad zwierzęta, skoro w najdonioślejszych chwilach egzystencji usta nasze milczą, a mówią tylko jak u zwierząt oczy lub emanacja naszych ciał?!...

\*\*\*

Fala jakaś ciepła zalała mi serce, więc nagle zaczęłam iść ku niemu, pokornie i radośnie.

Odleciał strach i przyszło pragnienie słodkie oddania się temu kochanemu, ślicznemu człowiekowi, czekającemu w progu.

Lecz w miarę, jak szłam, przekształcał się wyraz jego oczu. Z nieśmiałych, dobrych, wyczekujących, stawały się powoli smutne i jakby zawiedzione.

Usta drgnęły mu – bo ja wiem? Niesmakiem? Żalem? Urazą? Czy też, jak u małych dzieci, które oszukano haniebnie?

Zawiodłam go.

Czym?

Linia? Gestem? Rysunkiem ust?

Czy podległam tej dziedzicznej fatalności, ciężącej na kobietach, które piszą o sobie, że mianowicie zawsze przy tym stworzą o sobie legendę, baśń, mit, chociażby w stosunku do wszystkiego innego słynne były z realizmu.

Nie wiem.

Mnogoramienny ból wwiercał się w serce moje, coraz władniejszy.

Jeszcze chwilę łudziłam się – jeszcze szukałam, czy nie znajdę zaprzeczenia w tych oczach mądrych, brunatnych jak światło mojej lampy, owiniętej w kaszmir. Potem ogarnęła mnie demencja ratującego się, chęć złudy, chęć zdawkowego zaspokojenia marzeń, choćby kosztem bezgranicznego upokorzenia.



Więc szłam dalej, postanowiwszy podać mu usta, tak jak obiecałam. Ale i to się nie spełniło.

Zanim doszłam bowiem do niego, znowu się zmieniły jego oczy. Z niechętnych, rozczarowanych, stawały się zwolna... hulaszcze.

Uśmiech dwuznaczny i nieco pożądlivy rozchylił jego wargi, tak, że tylko kieliszek szampana brakował w jego ręku, aby obraz był dopełniony w nastroju.

Momentalnie, z przedziwną nagłością, obudziła się w nim ta samcza praktyczność, zastosowująca się, do każdej okoliczności, wyzyskująca każdą sposobność.

Rozczarowałam go jako wcielenie zjawy odległej, jako echo tego czegoś feerycznego, co nawet w duszy zwierzęcia śpi. Chwilę tedy drgał niesmak w jego twarzy i żal, ale –

młoda byłam jeszcze, biodra moje tak się miękko rysowały pod rdzawą materią, piersi moje tak się modelowały, nerwowe i dziewczęce, pod złotawą gazą – tak ufnie i jawno szłam oddać się jemu – jakież by mężczyzna odrzucił sposobność podobną?!

\*\*\*

Nie było już w nim ekstazy, tej co na progu sanktuariów czołem bije, tej co kadzielnice rozkołysywała w listach jego. Nie było już żalu za rozwianym snem, było tylko zwykłe, pospolite, męskie zadowolenie z... awanturki.

Szalonym przeskokiem rzuciła się dusza moja w tył.

Obycie towarzyskie tyloletnie, które we mnie umiało każdy odruch w ryzach trzymać, stancjo przede mną jak widmo surowe i nieustępliwe. Brwi, ściągające się tragicznie, pobiegły na powrót ku skroniom, usta stały się uprzejme i grzeczne, tylko może w źrenicach – gdzieś głęboko – drzemał ból.

Wyciągnęłam do niego rękę swobodnie. Zaskoczył go mój gest, ale podległy formom, jak ja, nie okazał tego. Usiadł naprzeciw mnie i zaczęliśmy mówić jak ludzie, którzy się może lepiej znają, ale którzy niewiele mają sobie do powiedzenia. Za uczciwy, aby rozpocząć grę ze mną fałszywą, poddał się bez protestu regule towarzyskiej, przeze mnie nadanej. Bądź co bądź miłość jego własna, samcza, nie została zbyt gwałtownie zraniona. Dostrzegł przecież skalę wrażeń, która kinematograficznie przebiegła twarz moją: strach dziecinny, miłość, pokora, a wreszcie uprzejmość niezupełnie naturalna.

Subtelność mężczyzny jest raczej żadna, lecz węch jego samozachowawczy jest silny. Próżność jego wyczuje natychmiast, czy dana sytuacja jest wytworzona przez niego samego, czy też wytworzyły ją czynniki od niego niezależne i to jedynie wpływa na przyjazne jego lub nieprzyjazne odnoszenie się do tejże sytuacji.

On – wyczuł się panem sytuacji, a choć stał wobec zagadki, niewiele go ona dręczyła, bo mężczyznę dręczy zagadka w kobiecie tylko wtedy, kiedy ta kobieta mu się podoba.

Przez moment próbował osłodzić mi gorzką pigułkę. Takt towarzyski nasuwał mu plątaninę wyrazów szablonowych i prawie że czułych.

Nie reagowałam, więc umilkł.

Nerwy moje dygotały pod żelazną obręczą prawideł salonowych. Uczułam zmęczenie nieskończone. Ramiona bolały mnie, jak gdyby spoczywał na nich niezmiernie ciężki płaszcz – w uszach płakał jakiś dźwięk.

Nie zdałam sobie właściwie sprawy z tego, że on pożegnał się i wyszedł.

Coś mówił? Pytał? Czy tłumaczył? A literatura wiecznie we mnie błędząca niosła mi myśli cudze, czytane – gdzieś – kiedyś – w samotnym przedziale wagonu i dawno zapomniane:

*Au silence des nuits nos âmes è tant closes,  
Nous entendons chanter l'hymne lent de nos coeurs*

—

*L'Amour c'est la chanson du coeur, s'il Est vainqueur,*

*Mais mourrant, vous verrez comme il est peu de chose...*

Na schodach skrzypiały jeszcze jego kroki, oddalające się powoli – coraz cichszym staccatem – nieodwołalnie.

\*\*\*

Wszystko wokół mnie było nieodwołalne. Rozłożyłam zziębłe ręce moje na blacie stołu i w przyćmionym świetle elektrycznej lampy przypatrywałam się jak obcym filigranowym przedmiotom: dwóm skarabeuszom świętym, w których zagadka bóstwa się mieści, dwóm ptakom z masy perłowej o drobnych rozpostartych skrzydłach. Chaotycznie wracały reminiscencje rzeczy czytanych, tak jak bywało u mnie zawsze, gdy na przykład nadto zmęczona usypiałam.

Więc Rémy de Gourmont i dowodzenie jego, że dusza i włosy kobiece są jednakiej barwy. Otóż przyszło mi na myśl, że nieomylniejsze są ręce ludzkie niż włosy, jako probierz duszy.

Patrzyłam w majaczącą plamę rąk moich i czytałam w nich to, czego ludzie nigdy w nich nie odczytali – delikatny błękit duszy marzącej, nerwowe fale dreszczu, które długa samotność wytwarza, filigranowość palców dziewczęcych, zakończonych emaliowanym szponem obrończym i ta stalowość samostarczalności, przy jedwabnym naskórku.

Dziwna rzecz, że ludzie przeszli mimo, obok rąk moich, że nawet... jego... nie zatrzymały te dwa znaki białe, tajemnicze, jak znak na koronacyjnej albie chutuchy – skarabeusze dwa, co zagadkę Bóstwa w sobie mieszczą i ludzką nietykalność hardą i pieśczośliwość niewyzyskaną...

Ptaki dwa z perłowej masy, szukające gniazd...

Podniosłam się, prostując członki, jakby długą podróżą zmęczone – więcej bo męczą programy szczęścia niż samo nieszczęście – i – leniwo,

apatycznie, zbliżyłam się do kufrów. Z szaf wyciągałam suknie, ze stolików zdejmowałam sprzęty i wrzucałam je *pêle mêle* do waliz, ciężko i bezmyślnie.

Nie było nawet godzin dwunastu, gdy je z kufrów wyjęłam.

Szeleściły w palcach moich jedwabie, dźwięczały kryształły przyborów toaletowych, zatrzaskiwały się zamki, chrzęściły safiany...

\*\*\*

„Wszystko chyba celu właściwie – i nikt tak przedziwnie do jezuityzmu nie prowadzi, jak Comte”. – przypomniały mi się nagle słowa d'Espagnaca.

Niepowiązane z treścią danej chwili, zaczęły mi się snuć migawkowe obrazy.

Ni stąd, ni zowąd, stanęło przed moimi oczyma ogromne, puste mieszkanie Ove Falsena i to jedyne dzieło sztuki u niego: olbrzym obejmujący kolana wątlej, nagiej dziewczynki. Poza tą rzeźbą nie było ani jednego obrazu, ani jednego dzieła sztuki w całym mieszkaniu.

– Dlaczego tylko to jedno? – spytałam.

– Wyszliśmy z poganizmu, pani Lyonne. Bóg może być tylko jeden albo żaden.

– Czyje to jest? Kamila Claudel? Rodin? Viegeland?

– Cyt, cyt, pani Lyonne... Nie kładźmy imienia temu, co wieczne, a więc bezimienne. W języku ludzkim nie ma nazw dla rzeczy wiecznych.

\*\*\*

Och tak! Mnogość nie jest wieczna. To tylko wieczne,  
co jest JEDNE i temu się imienia dawać nie powinno.

*Cudnej mądrości kwiatów, co raz tylko kwitną,  
Zamkniętej w ziarnach treści, ucz się serce, ucz...*

KONIEC.

Wiedeń – Galicja. Roku 120 kalendarza  
republikańskiego.

Roku 1912 panowania żydowskiego.

## SPIS RZECZY:

Słowo wstępne.....	3
I. Rondele o tym, co ma przyjść.....	5
II. „Waggelt de pop” .....	28
III. La gaya scienza.....	44
IV. Serce Faraona.....	51
V. Symfonia kropel deszczowych.....	68
VI. Libellule.....	81
VII. La trista scienza.....	98

Maria-Jehanne Walewska  
*Faunessy*

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-357-6

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)



